Ak 39894

ZESZYT 20.

ROK II. :: ::

Poznań — Kraków, dnia 24 maja 1911.

TYGODNIK NARODOWY

ILUSTROWANY

Kwartalnie 13 zeszytów tylko 2 kor. 40 hal.

W ajencjach 2 kor. 70 hal.

Przedpłatę na „Tygodnik Narodowy“ przesyłać należy przekazem pocztowym lub czekiem do Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie ulica Wiślna 2.

Rocznie (52 zeszyty) **9** koron. Półrocznie **4** kor. **80** hal. Kwartalnie **2** kor. **40** hal. W ajencjach prenumerata kwartalnie **2** kor. **70** hal. Pojedyńczy numer **24** hal. Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie koron **8,** rocznie koron **16.**

Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“,
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.

„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. :: :: :: **Przedpłatę** rocznie **9 kor.**, półrocznie **4 kor. 80 hal.** ćwierćrocznie **2 kor. 40 hal.** — należy przesyłać na ręce **Administracji** „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. (biuro M. Hupczyca). — W ajencjach na prowincji prenumerata kwartalnie **2 kor. 70 halerzy.**

Ogłoszenia: Od wiersza I-łamowego petytem **30 hal.** Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro Marjana Hupczyca ul. Wiślna 2.

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. **112 905.**

ЛННБ України ім. В. Стефаника
01524338Q

Biuro Dzienników
MARYANA HUPCZYCA
Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340
przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
do wszystkich dzienników.
Wielki wybór artystycznych kart z widokami.

L. 10. **Męski ankr. remontoir.**



Kor. 3,90.

z portretem Kościuszki, Mickiewicza lub z godłem polsk. bardzo dobrze idący na min. wyregulowany. Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie katalog ilustr. zegarów, zegarków, wyrobów jubilerskich, chińsk. srebra, przyborów, narzędzi zegarmi, strzowskich i towarów muzycznych.

F. Pamm, Kraków, Zielona 130.

Rocznik XIV. **Rok 1909.**

„RODZINA I SZKOŁA“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA I PRACA“

Pismo, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, dalszemu kształceniu nauczycielstwa oraz szerzeniu i popularyzowaniu wiedzy.

„Rodzina i Szkoła“ jest najtańszem pismem pedagogicznem polskiem.

„Rodzinę i Szkołę“ z dodatkiem naukowym „Wiedza i Praca“ poleciła **galicyjska** c. k. Rada szkolna krajowa we Lwowie, reskryptem z dnia 22. marca 1904 l. 10. 299 do wszystkich bibliotek nauczycielskich szkolnych i okręgowych w Galicyi a **śląska** c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie reskryptem z dnia 22-go marca 1908 l. 2162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na **Śląsku** oraz **bukowińska c. k. Rada szkolna krajowa** w Czerniawcach reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2. 162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na **Bukowinie.**

Rodzinę i Szkołę z „Wiedzą i Pracą“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekarskiej i hygienicznej we Lwowie w roku 1907 oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i hygienicznej w Lublinie w roku 1908.

„Rodzina i Szkoła“ jest pismem szczerze polskiem i katolickiem.

Prenumerata „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ kosztuje **rocznie 8 Mk., półrocznie 4,50 Mk. — Zeszyt pojedyńczy „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ 0,50 Mk.**

Numera okazowe wysyła na żądanie otwrotną pocztą i opłatnie oraz również przyjm. prenumeratę wprost Administracya „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie (Galicya) ul. Szeptyckich l. 68 (Gmach Sokoła II-go.)

Prosimy żądać numerów okazowych kartą korespondencyjną, podając dokładnie adres (imię i nazwisko, miejscowość i pocztę ostatnią.)

Roczniki z 1904, 1905, 1906, 1907 i 1908 są do nabycia w Administracyi, „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie ul. Szeptyckich l. 68 po cenie: zbroszurowane **6 Mk.**, oprawne **7 Mk.** (bez porta) za rocznik „Rodziny i Szkoły“ z rocznikiem „Wiedzy i Pracy“.

3 Korony wynosi rocznie z przesyłką pocztową prenumerata - - Straży Polskiej.

Straż Polska jest organem stowarzyszenia, noszącego tę samą nazwę, a mającego na celu obronę duchowych i materyalnych interesów narodu polskiego.

Straż Polska nie służy żadnemu stronnictwu, jest pismem czysto narodowem.

Do współpracowników **Straży Polskiej** należą: prof. A. E. Balicki. K. Bartoszewicz. Dr. L. Caro. Dr. J. Flach. Prof. Dr. Tad. Grabowski. Kazim. Gliński. Wiktor Gomulicki. Wanda Krzyżanowska. Dr. Kaz. Lubecki. Prof. M. Magiera. Prof. Czesł. Pieniążek. Dr. J. Ptaśnik. Dr. Lucyan Rydel. Henryk Sienkiewicz. C. Smolski. JE. Stanisław Tarnowski. i t. d.

Adres: **Straż Polska, Kraków, Floryańska 1.**

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.“

IV
Ac 39894

Nr. 20. Poznań — Kraków, dnia 24 maja 1911. ROK II.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Dwulicowość wystawy.





Uzyskawszy wierne podobizny dwóch tak różnych od siebie plakatów, reklamujących poznańską wystawę hakatystyczno-wschodnioniemiecką, którą omówiliśmy już w zeszłym numerze, poświęcamy temu „dziełu wschodnioniemieckiej kultury“ jeszcze raz słów kilka.

Plakat z lewej strony — to plakat oficyalny, widniejący wszędzie pod zaborem pruskim, mający ściągnąć Niemców do „stołecznego miasta Poznania.“ Nie ma na nim ani słówka polskiego, co gorzej z wieży starego poznańskiego ratusza usunięto nawet — naszego orła, by widokiem swym nie drażnił oczu hakatystycznych. Z plakatu tego woła do nas nowoczesny Krzyżak: „Jest waszym psim obowiązkiem przybyć na wystawę, choć wyrzucono z niej język wasz ojczysty! Musicie przyjść, bo dzieło naszej pruskiej kultury was, marnych nędzników, przyciągnie samych.“

Drugi plakat nosi oblicze zupełnie inne, gdyż przeznaczony on dla nieznających tak dobrze, jak my, stosunków tutejszych braci naszych z pod zaboru rosyjskiego. Prócz przepisanego w Rosyi dla publicznych ogłoszeń języka rosyjskiego widnieje tam wyraźnie napis polski. Tu wyrzuca się z wystawy wszystko, co polskie, a tam pragnęłoby się ściągnąć Polaków, by poparli swym groszem dzieło, mające wykazać ich potęgę, a naszą maleńkość. W oszukańczy nawet sposób

Львівська Бібліотека
АН УРСР

pragnęliby nasi „najserdeczniejsi“ przyjść w posiadanie polskich pieniędzy z zagranicy. Na plakacie niema bowiem ani słówkiem mowy o wystawie „wschodnioniemieckiej,“ lecz reklamuje się jedynie niewinną „wystawę przemysłowo-rolniczą“. Jest to perfidyą, posuniętą do granic możliwości. Ale chodzi tu o pieniądz!

Dwa te plakaty wystawowe dowodzą jak niemoralną, kramarską i żydowską polityką kierują się wobec nas ci, co szczycą się, iż kroczą na czele kultury, co nam pragną imponować swą kulturą na swej wystawie hakatystycznej. Polityka taka może wzbudzać wśród nas jedynie uczucie wstrętu, uczucie odrazy najgłębszej. I taki też jest faktycznie stosunek każdego narodowo usposobionego Polaka do wystawy wschodnioniemieckiej, w której odzwierciedla się ta polityka, ta żydowsko-hakatystyczna kultura na naszej starej ziemicy polskiej, zroszonej krwią i potem przodków.

Zaborczość niemiecka.

(Z powodu zajść w Śremie).

Zajścia, jakie w ostatnich dniach rozegrały się na gruncie Giełdy strzeleckiej w Śremie, odbiły się głośnem echem w całej Polsce.

Sprawie tej należy się słusznie rozgłos jak największy, gdyż charakteryzuje ona dosadnio stosunek „narodu panów“, do nas Polaków. Tło całego zajścia w Śremie jest następującem: Polacy własną pracą dorobili się w Giełdzie znacznego majątku, wynoszącego około 20 tysięcy marek. Niemcy chcą wejść dlatego w posiadanie Giełdy, i to im się też udaje. Charakteryzuje ich najlepiej sposób, w jaki dochodzą do celu. Oto burmistrz czy magistrat nakazuje, by zarząd Giełdy przyjął na członków stu kilkudziesięciu urzędników niemieckich, by otrzymać nad polskimi członkami przewagę. Giełda propozycyą taką naturalnie odrzuca, gdyż dotąd przyjmowano tylko najwybitniejszych obywateli na członków. Magistrat wówczas *narzuca* Giełdzie swych protegowanych, „mianuje“ ich mimo protestów członkami. Teraz — zdawałoby się — magistrat spokojnie przeprowadzi to, do czego zdąża. On tymczasem jest „panem“, wolno mu uczynić, co mu się podoba. Depcąc nogami ustawy Giełdy, wyrzuca kilku najzacniejszych członków, zrzuca zarząd polski z urzędu, zrzuca tych, którym przysługuje na mocy ustaw proponowanie członków zarządu. Pokazuje słowem żelazną pięść pruską. Mógłby on bez takich awantur dopiąć celu swego w przeciągu 2 lat, gdyż regencyi przysługuje, niestety, prawo zatwierdzania wyboru członków zarządu, lecz magistrat wolał pokazać wszechmoc pruską, gdy chodzi o Polaków.

Mówiliśmy dotąd o magistracie tylko, a nie o „obywatelstwie“ niemieckiem w Sremie, które zastosowało się w zupełności do żądań i woli magistratu. I ono postępowało tak samo po „prawdziwie prusku“, jak magistrat. Niezależni od nikogo ludzie, „śmietanka“ towarzystwa niemieckiego, lekarze, profesorowie gimnazyalni itd., oni bez głosu protestu głosowali tak, jak im magistrat nakazał. Ot, co znaczy głośny *„beschränkter Untertanenverstand“* z czasów panowania „harcopów“. Niemniej głosowali „po ukazu“ rzemieślnicy niemieccy, których byt w zupełności zależny jest od ludności polskiej. Wśród Niemców widocznie utarte jest mniemanie, że Polaka można bić w twarz, a on jednak się o to nie pogniewa, lecz dalej będzie potulnym barankiem.

Zajście w Śremie — to tylko drobny epizod z tego długiego ciągu przykładów traktowania nas przez Niemców. Zajścia te, tak samo jak rozbiór Polski, jak Komisyę kolonizacyjną, jak ostatecznie hakatystyczną wystawę poznańską, nazwą oni jeszcze „pruskiem dobrodziejstwem“.

Niestety wielu jest jeszcze wśród nas — i to nawet osobistości wysoko postawionych, którzy mimo tego rodzaju dobrodziejstw pchają się tam, gdzie nas być nie powinno. Nie mamy tu specyalnie na myśli Giełdy śremskiej, gdzie odrębne warunki nakazywały Polakom bronić tego, co zdobyto polską pracą, do upadłego. Inaczej stoi tymczasem sprawa w innych Giełdach strzeleckich, do których ciągnie mądrych Polaczków kogucie piórko na kapeluszu i rożenek przy boku. Inaczej ma się rzecz z wystawą, dokąd jednych (szambelan *Cegielski* i biskup *Likowski*) ciągnie chęć politykowania, a drugich — fatałaszki niemieckie, zgromadzone na ogłupianie nas.

Kiedyż wreszcie staniemy wszyscy murem nierozerwalnym wobec podobnych uroszczeń niemieckich, byśmy popierać mieli to, co na naszą jedynie wychodzi szkodę narodową, byśmy kręcili bicz na własną skórę?

Uczmy dzieci nasze i sąsiadów czytać i pisać po polsku...

Wtajemniczajmy je w krzepiące ducha i serce dzieje narodu naszego...

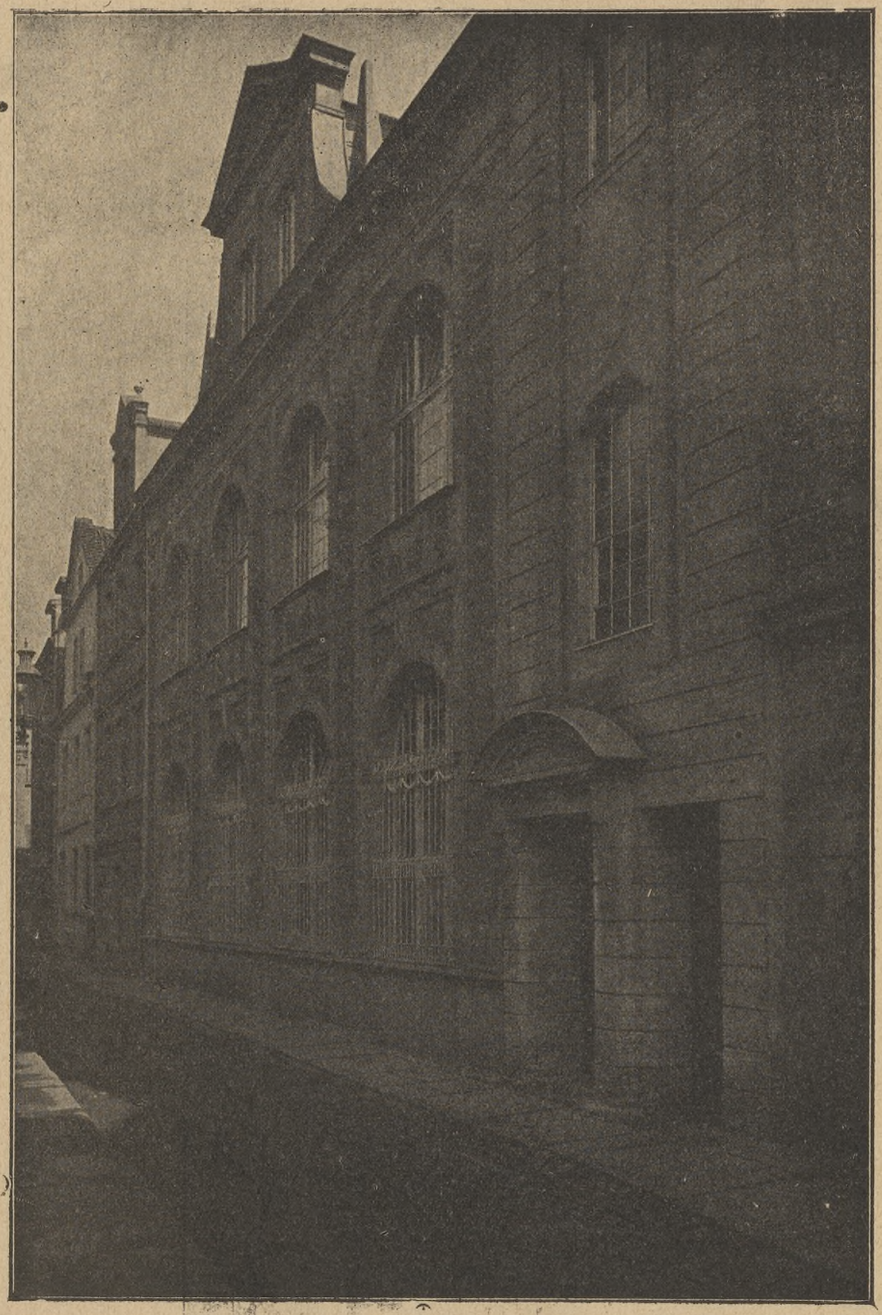
Uczmy dzieci być Polakami o silnym charakterze, o woli niezłomnej, nieugiętej.

Pięćdziesięciolecie pracy dla dobra społeczeństwa.

W czasach dzisiejszych nie możemy sobie poprostu wystawić istnienia naszego bez współnych tych naszych instytucyi spółkowych, udzielających kredytu, przechowujących nam grosz nasz zaoszczędzony. Dziś zrosły się instytucye te tak nierozerwalnie z naszem życiem społecznem, że dziwimy się, jak ludzie kiedyś bez nich wogóle obyć się mogli. W naszych bowiem czasach niema przecież nawet jednostki, któraby nie była związana silnym węzłem interesów finansowych z jedną z naszych Spółek, pokrywających gęstą siecią — w liczbie około półtrzeciej setki — całe



Bank Przemysłowców w Poznaniu. — Front od Starego Rynku.



Bank Przemysłowców w Poznaniu. — Front od ulicy Sierocej.

ziemie polskie, znajdujące się pod panowaniem pruskiem, istniejące w wielkiej liczbie także w dwóch innych dzielnicach Polski.

Instytucye te poniekąd czynią nas dopiero społeczeństwem we właściwem, nowoczesnem pojęciu, społeczeństwem, którego każda jednostka złączoną jest z tysiącem innych wspólnością interesów, w którem upadkowi dzielnej jednostki starają się zapobiec tysiące innych jednostek, wiedząc, że i one upadek taki odczułyby bardzo dotkliwie. Dzięki im społeczeństwo nasze czuje się jednem, nierozerwalnem ciałem. Z jednostek, związanych dawniej — coprawda silnie — tylko wspólnością idei, staliśmy się jednem silnem ciałem gospodarczem.

Wielka ta i ważna przemiana w naszych stosunkach wewnętrznych zaszła w przeciągu lat pięćdziesięciu niespełna. W przeciągu tego pół wieku naszego silnego ducha zdołaliśmy oblec w silne ciało, zdołaliśmy się zamienić na pełny organizm, o ile o takim w naszych warunkach mowa być może.

Cześć mężom, którzy do pracy w tym kierunku pierwsi przyłożyli u nas ręki. Patrząc dziś na to co oni stworzyli, winniśmy uchylić przed nimi czoła, bo oni wlali w społeczeństwo tę moc i ten hart, którego dawniej nam niedostawało, bo oni wyrobili w nas odporność, dzięki której przetrwaliśmy niejedną burzę gospodarczą, która mogłaby nas była zmieść jak listek.

Na cześć i hołd zasłużyli sobie wobec całego społeczeństwa ci mężowie, którzy położyli przed laty pięćdziesięciu fundament pod dzisiejszy Bank Przemysłowców. Instytucya ta bowiem była u nas pierwszą instytucyą spółkową, pierwsza zaczęła torować drogę dla dzisiejszego rozwoju idei współdzielczości u nas.

Tydzień temu święcił Bank Przemysłowców złoty jubileusz swego istnienia. Z całej Polski nadeszły życzenia dalszego najpomyślniejszego rozwoju dla naszej poznańskiej instytucyi, która stała się wzorem dla tysiąca innych. Nietylko z Polski, ale i z obczyzny. Rodacy, których los rzucił daleko poza granice ojczystego kraju, i oni dali wyraz hołdu dla pionierki naszej myśli współdzielczej, rozumiejąc dobrze jej wielkość i głębokie znaczenie.

Dziś, gdy cała nasza prasa codzienna, składając hołd zasługom Banku Przemysłowców, dała już obszerne i wyczerpujące opisy tak przebiegu



Bank Przemysłowców w Poznaniu. — Wnętrze lokalu bankowego.

uroczystości samej, jak i całej działalności Banku, byłoby spóźnionem, gdybyśmy również powtarzać mieli znane już ogółowi szczegóły. Ograniczamy się zatem jedynie do przytoczenia z mowy członka zarządu p. adwokata Bernarda Chrzanowskiego ustępu charakteryzującego najlepiej działalność Banku Przemysłowców:

Bank Przemysłowców musiał sam drogę ba dać, nieraz błądził, trafiał w końcu na dobrą, musiał sam prawdy szukać, znajdował ją wreszcie, musiał sam słuszność zasad wypróbować. Historya Banku Przemysłowców uczyć więc musi wiele. Oto uczy najpierw, że spółka winna mieć wzorowo urządzoną książkowość, śledzić za wszelkim postępem technicznym, zaprowadzać wszelkie korzystne dla niej i członków urządzenia, że kierownicy winni być fachowcami, że władze spółkowe winny jak najściślej współdziałać, że istnieć winna nieustanna wszelka kontrola, że spółka winna rozumieć i cenić dokładne a szybkie, staranne, szczegółowe, biurowe załatwianie spraw.

Uczy ta historya dalej, że celem spółki być winno udzielanie taniego i dogodnego kredytu członkom; uczy także, że spółka winna zwracać pilną uwagę na pewność pożyczki, nie powodować się ani sympatyą do pożyczającego jako człowieka, ani do celu jako bliskiego sercu, nie poświęcać dla dobra jednostki lub chwilowej korzyści społecznej interesu całej spółki; że winna — mimo powagi i znaczenia pożyczającego — trzymać się bezwzględnie wszelkich przepisów kontroli.

Uczy ta historya wreszcie, że spółka nie może wdawać się w spekulacye, ani starać o wysokie dywidendy, lecz wzmacniać ma — chociaż powoli, lecz stale — własne fundusze, dbać o uposażenie rezerw, że ma żyć nie dla teraźniejszości, lecz myśleć o przyszłych czasach, że ma w latach tłustych pamiętać o możliwych chudych.

Uczy nakoniec ta historya Banku, jak to w danych warunkach i stosunkach powodzenie spółki zależne od wyboru dla niej odpowiedniej formy odpowiedzialności, jak to w czasach niepowodzenia nie można go świetną zasłaniać mową, lecz trzeba z energią do usunięcia złego się zabrać, jak znów w czasach szczęśliwych nie należy dać się szczęściu oszałamiać, lecz jak przed tem zimno rozważać; uczy, jak zamierzony z zewnątrz gwałt niekoniecznie szkodzić musi, lecz nieraz



Bank Przemysłowców w Poznaniu. — Sala posiedzeń.

w źródło rozwoju się zamienia, jak łączności nigdy unikać się nie godzi, lecz do niej z zaparciem się siebie dążyć trzeba, jak na silnych spółkach spoczywa obowiązek służenia słabszym.

Może i ona — ta jubilatka — jeszcze nie wszystkie te zasady — chociaż się w pamięć jej zapisały, już dzisiaj w czyn wprowadziła, lecz chęć wcielenia tych zasad ciągle trwa, spółka je sobie nieustannie uprzytomnia; choć dążność ta nie uwidocznia się może na zewnątrz, to płynie ona bądź co bądź w krwi spółek, tak, że każda na pozór drobnostka do tego zmierzająca, jest wynikiem tego utajonego pędu.

To nauki z dziejów Banku Przemysłowców dla niego i spółek.

JEDEN Z WIELU.

(Obrazek z Powstania Listopadowego).

Franka Kacparka rodzice odumarli wcześnie, resztę rodzeństwa pozabierali do siebie krewni, a Franka, gdy skończył dziesięć lat, oddał opiekun na naukę rzemiosła szewskiego do Warszawy do pana Marcina Wawrzkiewicza.

Franek zachowywał się w terminie przykładnie i po kilku latach wyzwolony przez majstra, wstąpił do jego pracowni jako czeladnik. Ojczyznę kochał swem prostem sercem po swojemu, lecz szczerze i gorąco, a nieraz marzył w swych snach młodzieńczych o śmierci za Nią. I nie długo czekał na urzeczywistnienie swych pragnień.

Dnia 12 grudnia 1830 roku otrzymał jako popisowy rozkaz stawienia się pod broń, poczem przydzielono go do sławnego czwartego pułku piechoty, do kompanii kapitana Szarka. Kapitan Szarek, były legionista i żołnierz napoleoński, z chwilą utworzenia Królestwa Polskiego przez kongres wiedeński, wstąpił do służby wojskowej jako podporucznik i jako kapitan doczekał wybuchu powstania. Dzielny żołnierz, gorący patryota i służbisty oficer, trzymał swych podwładnych żelazną ręką, to też kompania jego była jedną z najlepszych w pułku.

Nasz rekrut po krótkiej nauce musztry



Bank Przemysłowców w Poznaniu. — Główny wchód.

i obrotów wojskowych, dowiedział się, że pułk ruszy wkrótce na pole walki, a korzystając z wolnej chwili i pozwolenia na wyjście z koszar, pobiegł do swych majstrostwa, by się pożegnać.

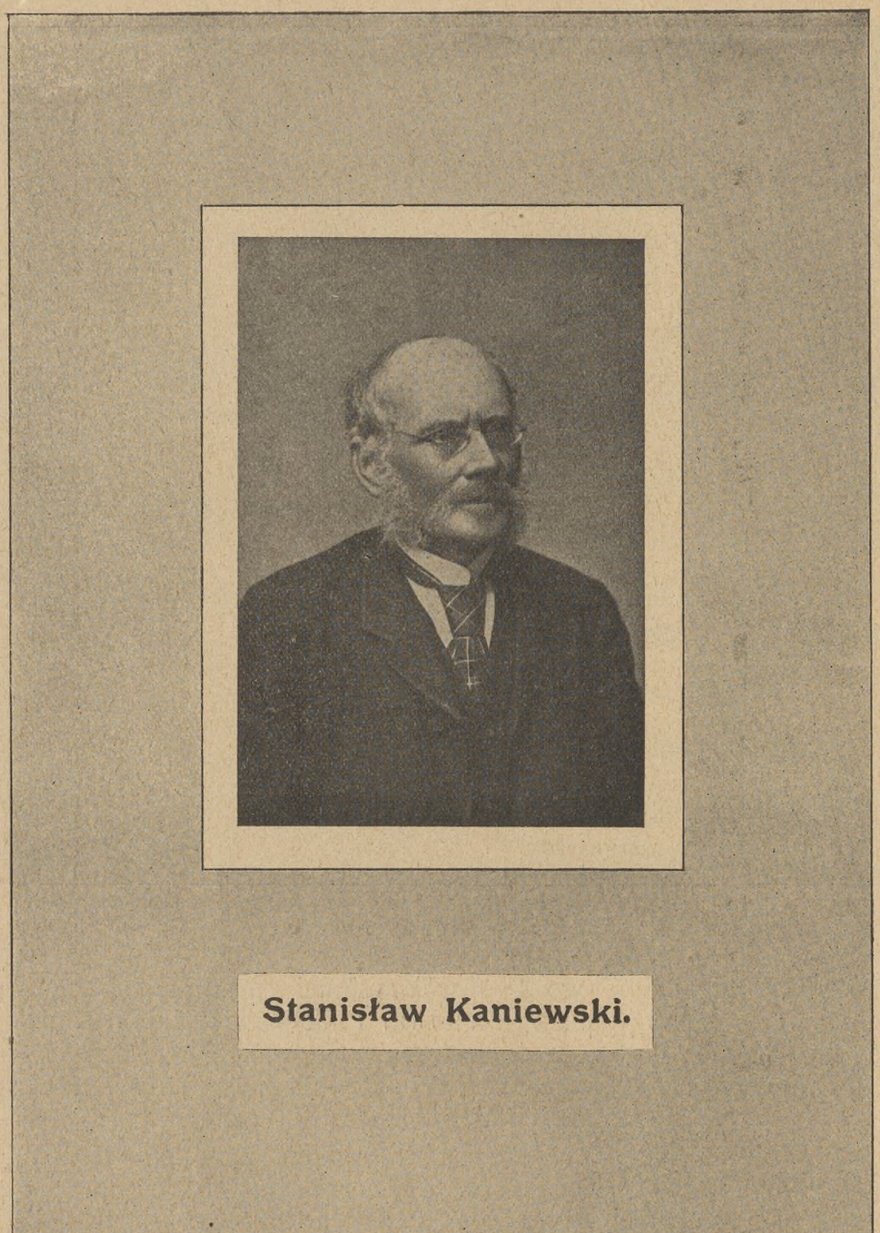
Oboje starzy, kochający Franka jak syna, przyjęli go z radością, a i ze smutkiem zarazem, na wieść, że musi ruszyć do walki. Pocieszał ich Kacparek jak mógł, lecz daremnie; przybrani rodzice powstrzymać się nie mogli od łez. Przy pożegnaniu schylił się młody żołnierz do nóg panu Marcinowi, panią Wawrzkiewiczową ucałował w rękę, która nieraz sporo wymierzyła mu kułaków, i z pogodą w sercu podążył do koszar. Tego dnia wieczorem modlił się dłużej niż zwykle i późną nocą udał się na spoczynek.

Rankiem zbudziła go pobudka i hasło do wymarszu. Zebrawszy swoje rzeczy, stanął Franek w szeregu i wymaszerował z koszar. Pułkowi przechodzącemu ulicami Warszawy sypali mieszkańcy zieleń pod nogi i błogosławili na ciężkie trudy.

Pierwsze tygodnie kampanii minęły na drobnych utarczkach; wreszcie dnia 21 lutego 1831 roku stanęła armia polska na błoniach Grochowa. Pułk czwarty zajął Olszynkę. Franek cieszył się, że weźmie nareszcie udział w prawdziwej bitwie i z biciem serca oczekiwał hasła rozpoczęcia walki.

Wczesnym rankiem 25 lutego odezwały się basem działa rosyjskie a i artylerya polska nie zwlekała długo z odpowiedzią. Około południa bitwa zawrzała na całej linii. Pułk czwarty broniąc Olszynki przed atakami tłumów wroga, topniał w ogniu. Trzy razy ze swej pozycyi wyparty, trzy razy na nowo ją zdobywał, znacząc swą pracę trupami własnymi i górami poległych Moskali. Z kompanii kapitana Szarka trzecia część zaledwie pozostała pod wodzą porucznika Zagórskiego. Stary bowiem wiarus poległ przeszyty bagnetem rosyjskiego żołdaka. Wśród pozostałych znajdował się i nasz Franek.

Po krótkiej przerwie bitwa zawrzała na nowo. Ku Olszynce ruszyły teraz tłumy jazdy z kirasyerami księcia Henryka na czele. Kawalerya rosyjska w szalonym pędzie zbliżała się ku laskowi. Czwartacy



Stanisław Kaniewski.

Jedyny żyjący założyciel Banku Przemysłowców, staruszek 90 letni.

bagnetami mieli jej zagrodzić drogę. Franek pewniej stanął na nogach i wysunął błyszczące żądło bagnetu ku olbrzymiemu chorążemu, pędzącemu na czele pułku na wspaniałym karym rumaku. Jazda się zbliżyła na długość szabli. Czwartacy jak osy kąsać poczęli bagnetami; wspaniały chorąży pchnięty przez Franka zwalił się z konia, wypuszczając z rąk drzewce sztandaru. Szybko jak błyskawica schylił się Kacparek i zdarłszy płachtę chorągwi, ukrył ją na piersiach. W chwili jednak, gdy się gotował do wymierzenia nowego ciosu, poczuł szum w uszach, płatki czarne poczęły mu skakać przed oczyma i straciwszy przytomność, runął na ziemię.

* * *

Na pobojowisku noc ciemna. Tu i owdzie błyskają latarki sanitaryuszy polskich, wyszukujących rannych. Chłód nocny wrócił Frankowi przytomność; młody żołnierz podnosi się z ziemi, lecz głowa mu cięży okropnie, pragnie powstać, lecz ciało pozbawione sił skutkiem upływu krwi odmawia mu posługi. Chce krzyknąć, lecz głos zamiera na bladych wargach. Zemdlał znowu.

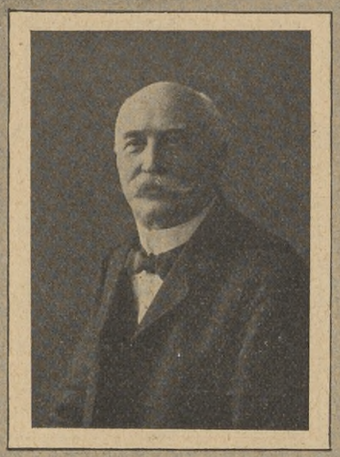
Ocknąwszy się, ujrzał nad sobą twarz majora swego, lekarza i kilku żołnierzy. Radosny uśmiech zaigrał na zbielałych ustach Franka. Gasnącym wzrokiem powiódł po otaczających go, i z trudem dobywszy z zanadrza płachtę zdobytego przez siebie sztandaru, podał ją majorowi.

Ten rzucił wzrokiem zdumionym na Franka, poczem odpiąwszy od swego boku krzyż *Virtuti militari*, złożył go na piersiach walecznego rycerza. Z rozrzewnieniem spoglądał młody rekrut na tę nagrodę; tymczasem skoczył lekarz by go opatrzyć.

„Dziękuję, dziekuję“ — szeptał urywanym głosem — „mnie to już nie pomoże, szczęśliwy jestem, że ginę za Ojczyznę. Krzyż wręczcie na pamiątkę memu opiekunowi, panu Wawrzkiewiczowi, mieszka na...“ więcej mówić nie mógł, głowa zwisła mu na piersi, a ciało chyląc się powoli, spoczęło na chłodnej ziemi. Skonał radosny duchem, że śmierć poniósł w obronie wspólnej Macierzy.

Obecni podnieśli ręce do daszków czapki i w milczeniu długo salutowali bohatera. *W. S.*

Jałmużna.



Wincenty Bryliński.



Bernard Chrzanowski.



Dr. Kazimierz Bajoński.

Obecny Zarząd Banku Przemysłowców w Poznaniu.

Jest to bezwarunkowo cel i szczytny i ważny i dlatego forma spełniania go winna odpowiadać swemu przeznaczeniu w zupełności, a nie połowicznie i fałszywie.

A form udzielania jałmużny istnieje dużo i dlatego właśnie prawie wszystkie zawodzą. Dziś niemal każdy człowiek ma swój „tryb“ wspomagania biednych. Ten daje spotkanemu na ulicy żebrakowi grosze, ów jedzenie, tamten stare ubranie i t. d. Wynik tego taki, że nędzy nie wypleniamy, lecz przeciwnie — hodujemy ją, zwłaszcza w Galicyi.

„Pan żebrak“ jest i najedzony i odziany i grosiwo posiada. Ba, „pan żebrak“ potrafi się bawić, jak nikt inny. Takiego dobrego humoru, swawoli i sprośnych piosenek — doprawdy nigdzie się nie znajdzie!

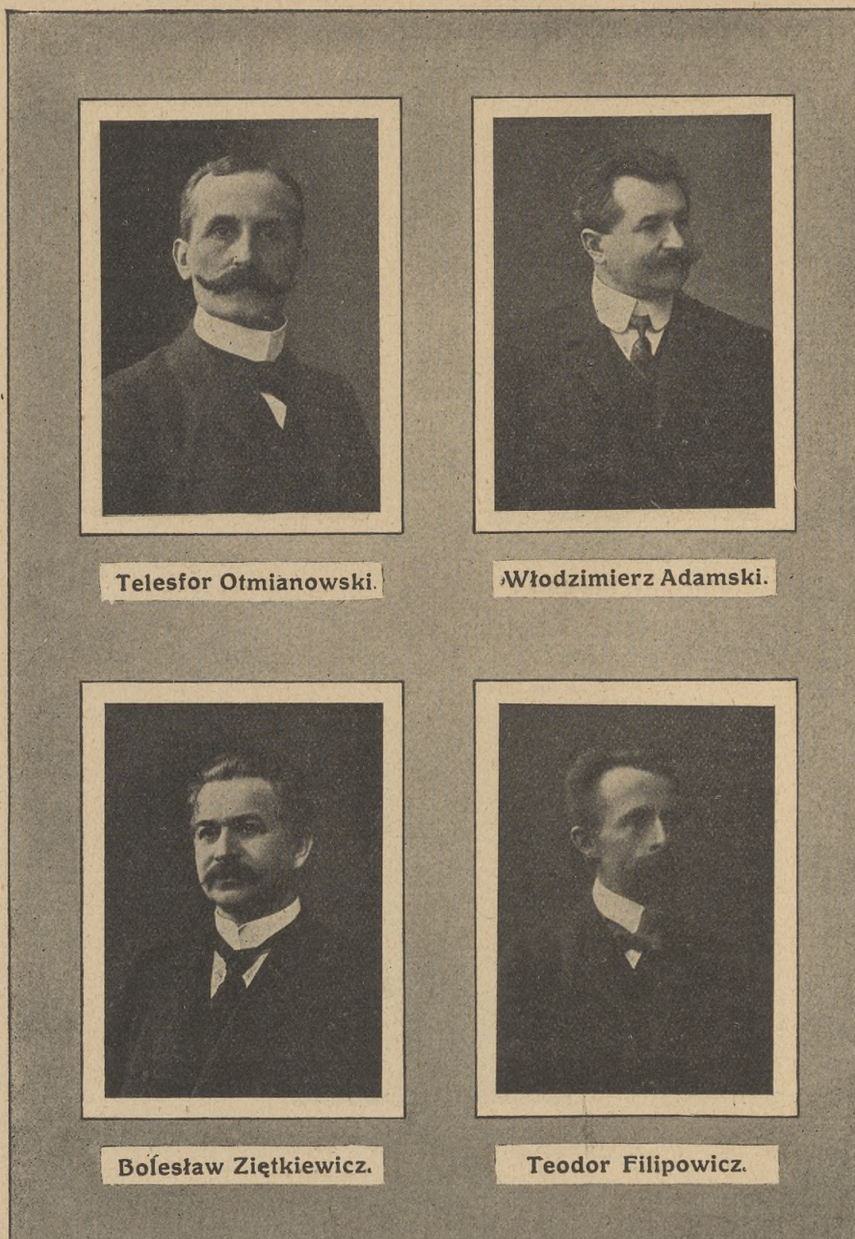
Nie wierzycie — spróbujcie się jeno kiedy zakraść cichaczem pod „budę żebraczą“ po odpuście, a przekonacie się sami o smutnej prawdzie słów moich.

Przypuśćmy, że był to „występ“ odpustowy — „święto“... Spojrzyjmy więc w „szare“ codzienne życie naszych żebraków. Jego strój, tak godny politowania, tak podarty i połatany, częstokroć skrywa ciepłe wełniane kaftany — (kupione przez żebraków całe i nowe). Ubranie wierzchne drą i niszczą umyślnie; znając psychologię „miłościwych“, wiedzą oni, że „porządnie“, t. j. czysto i cało odzianemu żebrakowi — niechętnie dają grosze. W zimie, na rozgrzywkę, jest ukryta za „pazuchą“ flaszeczka „mocnej“ i tabakiera z ostrą tabaczką u starych, a papierosiki (gotowe) u młodszych.

A jak zapatruje się na tę sprawę nasze społeczeństwo? Co czyni, by podobnemu stanowi rzeczy zaradzić? By wspierać rzeczywistych biedaków i wypleniać symulantów, fałszowanych żebraków?

Tu do smutnej przyznać się trzeba prawdy, iż nie czynimy nic, coby ukróciło żebraninę uliczną i biedaków faktycznych wspomogło! Raczej przeciwnie, sami wytwarzamy żebraków zawodowych przez naszą hojność uliczną, gdy to z gestem wielkim rzucamy im grosze (niech inni widzą).

I przez to, powtarzam, nie wspieramy bieda-



Telesfor Otmianowski. Włodzimierz Adamski.

Bolesław Ziętkiewicz. Teodor Filipowicz.

I. Obecna Rada Nadzorcza Banku Przemysłowców w Poznaniu.

ków faktycznych i nędzy, aby ją wyplenić, lecz wręcz przeciwnie — hodujemy ją, sprzyjamy jej rozwojowi zachęcając do żebraniny.

Oto dowód:

Rozmawiałem raz z handlującym dewocyami w Krakowie. Narzekał na małe targi, zmuszające go albo do przymierania głodem, albo sprzedawania towaru niżej ceny kosztu. Rozmowę zakończył: „Chyba zostanę żebrakiem". Spojrzałem nań zdziwiony. „Wie pan, oni zawsze mają parę koron". W rok potem, w tej samej miejscowości i na tym samym odpuście spostrzegłem go w grupie żebraków i — chwalił sobie nowy zawód.

To wszystko świadczy o rozwiniętej śród nas miłości bliźniego i o hojności naszej ale równocześnie o.. najfałszywszem użyciu pieniędzy, a głównie o złej formie ofiarowywania ich.

Śmiech i Łza.

(Bajka)

Szedł Śmiech przez Polskę i huczał. Roztrącał przechodniów śmiało, a nawet zuchwale, albowiem czuł, że go każdy chętnie wita. Więc pozwalał sobie żarty stroić i szydzić, a nieraz cynicznym się okazywał.

I wszystko mu uchodziło... Aż w tem widzi, naprzeciw idzie — Łza. Bardzo była wielka, a jeszcze bardziej boleściwa.

Rozstępowano się przed nią i uciekano.

Lecz Śmiech zastąpił jej drogę i rzekł:

— Po co ty ciągle włóczysz się po ziemi polskiej, stara wiedźmo?! Za dawnych lat, za bardzo dawnych, bo jeszcze za saskich, myślałem — Boże odpuść! — ożenić się z tobą i godziłem się nieraz, albowiem, gdym był pijany, to mi stawałaś w oczach.. Ale teraz ciebie nie cierpię! Ty bo na tej ziemi zagnieździłaś się i djablo mi. zawadzasz... Idź precz!

Łza zaś spojrzała na niego oczyma, z których biły blaski krwawo-brylantowe i odparła łagodnie:

— Z ciebie byłby dobry chłop, Śmiechu, gdybyś zawsze miał rozum i znał miarę... Jabym sama rada odejść już z tej ziemi i ustąpić ci miejsca... Ale nie mogę! nie mogę!... Więzi mię tu niedola ciężka. A i twoja własna lekkomyślność zatrzymuje mnie nieraz... Umiej bo ty wczas zniknąć, nie bałamuć ludzi, nie rozpraszaj myśli

poważnych, nie odciągaj od pracy, nie osłabiaj woli, nie napawaj szyderstwem lub cynizmem. Bądź pogodą nie swawolą, bądź otuchą nie rozstrojem, bądź promieniem a nie błyskiem, równowagą nie zboczeniem! Ja zaś chętnie wówczas rozpłynę się w tem morzu łez, które na tej ziemi zdawna powstało.. A bodajbyś ty je osuszył!...

Śmiech opuścił czerwony nos na kwintę i zamilkł.

Adam Krechowiecki.

Jubileusz Sokoła poznańskiego

Kiedy mniejwięcej ćwierć wieku temu rzucono myśl tworzenia u nas towarzystw gimnastycznych, by przysporzyć społeczeństwu zdrowych, silnych obywateli, już krótki czas po tym, w czerwcu 1886 roku powstaje Sokół w Poznaniu. Od tego czasu ubiega 25 lat — okres pełen znojnej pracy i zaparcia się siebie ludzi, którzy stali na jego czele, i tych, którzy przejęli się ideą sokolą. Nie miejsce tutaj rozwodzić się, czy „Sokół“ należycie wypełnił swoje zadanie, sąd o tem pozostawiamy tym, którzy w okresie tym 25-letnim okazali „Sokołowi“ zainteresowanie.



II. Obecna Rada Nadzorcza Banku Przemysłowców w Poznaniu.

Nie możemy się chlubić, że Gniazdo nasze pierwsze stanęło do służby publicznej w myśl hasła: „W zdrowem ciele zdrowy duch“, lecz szczycimy się tem, że sztandar sokoli dzierżyliśmy zawsze wysoko, że służbę sokolą pełniliśmy zawsze gorliwie, że staraliśmy się zawsze kroczyć w pierwszych szeregach walczących o ideę sokolą.

Chcąc w niezatartej pamięci zostawić 25-tą rocznicę istnienia Gniazda, pragniemy obchodzić ją w sposób odpowiedni. Pragniemy uroczystości tej nadać wygląd o ile możliwe najwspanialszy. Nie powoduje nas do tego jedynie ambicya, lecz żywimy uzasadnioną nadzieję, że od uroczystości tej zależeć będzie w znacznej mierze dalszy rozwój naszego Sokolstwa, dalszy rozwój idei, dla której pracujemy. I pragnęlibyśmy, by obchód nasz jubileuszowy stał się także widomym znakiem służby na rzecz naszej idei. Pragnęlibyśmy, by obchód nasz przysporzył idei wychowania fizycznego tysiące nowych zwolenników, by przekonał tych, co dotąd od nas stronią o ważności naszych dążeń. Dla tego jedynie pragniemy, by obchód nasz wypadł jak najokazalej.



Ludwik Miklaszewski. Piotr Rejminiak.

Stanisław Rzepecki. Jan Zabłocki.

III. Obecna Rada Nadzorcza Banku Przemysłowców w Poznaniu.

Zwracamy się zatem z gorącą prośbą, by społeczeństwo nasze w tej uroczystości (w dniach 4 i 5 czerwca rb. — w Zielone Świątki) wzięło jak największy udział, a temsamem okazało swoją sympatyę dla „Sokoła".

Obchód nasz odbędzie się w dwóch dniach z popisami specyalnemi Gniazda naszego, jako też z gościnnemi występami gimnastyków Gniazd bratnich. Na całość złożą się popisy pań, reje kolarzy i występ szermierczy, prócz zwykłych ćwiczeń gimnastycznych Gniazda poznańskiego, ostatni pod kierownictwem naczelnika związkowego.

I w inny jeszcze sposób pragniemy utrwalić pamięć naszego Jubileuszu. Wydajemy pamiętnik pod nazwą „Srebrnej Księgi Sokoła Poznańskiego", mający na mniejwięcej 12 arkuszach druku przedstawić stan ogólny naszego Sokolstwa, dać pogląd na rozwój wychowania fizycznego w Polsce.

Pamiętnik zawierać będzie prócz tego historyę Sokolstwa wśród narodów pobratymczych.

Pracami swymi przyrzekli zasilić „Srebrną Księgę" wybitni nasi fachowcy na polu wychowania fizycznego z pod wszystkich trzech zaborów.

Pragnąc równocześnie nadać naszej księdze pamiątkowej wartość ogólną, by zwiększyć jej poczytność, postaraliśmy się niemniej o poezye i prace literackie, stojące w związku z wychowaniem fizycznym.

Treści księgi tej odpowiadać ma niemniej strona zewnętrzna. Kładziemy wielką wagę na to, by Pamiętnik nasz był bogato ilustrowany obrazkami, zaczerpniętemi z dziedziny gimnastyki wśród swoich i obcych, podobiznami zasłużonych około rozwoju Sokolstwa mężów. Jednym słowem i strona zewnętrzna pamiętnika, który ukaże się niebawem, ma się przedstawiać jak najokazalej.

Zwracamy się zatem do obywatelstwa naszego z publiczną prośbą o życzliwe przyjęcie i poparcie naszego wydawnictwa, oraz o jak najliczniejsze przybycie na publiczne popisy gimnastyczne w dniach jubileuszu.

Wydział Towarzystwa Gimnastycznego Sokół w Poznaniu.

Dr. Ksawery Zakrzewski. Maryan Jęczkowiak. Tadeusz Siewicz.

Komitet jubileuszowy:

Biernacki Edward. Borucki Stanisław. Durczykiewicz Jan. Gładysz Wiktor. Janiszewski Leon

Karge Stanisław. Kędzierski Czesław. Kryg Teodor. Dr. Krzyżankiewicz Stanisław. Lange Julian. Lewandowski Wacław. Maciejewski Julian. Pewiński Piotr. Powidzki Tadeusz. Rzepecki Karol. Sypniewska Marya. Walkiewicz Antoni. Wilczyńska Irena. Wolski Stanisław.

Na marginesie.

Czego od nas chcą?

My, to jest Polska, wrogów niewiele
Mamy — nam każdy jak może, sprzyja —
I choć na różach los nam nie ściele,
To, szczerze mówiąc, wina niczyja.

Niemiec — wymogi ma tak nieduże —
Tę jasną prawdę widzą i ślepi —
Polak żyć będzie w Niemiec kulturze,
Gdy się z Niemcami zupełnie zlepi.

Moskal-Słowianin też chętnie przyzna,
Że nas uważa za swoich braci.
„Słowiaństwo“ — wszystkim jedna ojczyzna,
Zruszczony Polak zyska, nie straci.

Na życie nasze nie dybią zgoła,
Jednego tylko żądają skromnie,
W czem się im łatwo wygodzić zdoła:
Niech Polak o swej Polsce zapomnie!

Tersytes.

Z dziedziny przyrody.

(Przyroda i sztnka. — Wśród kwiatów. — Oleje sztuczne. — Prof. O. Wallach. — Sztuczne wonie).

Na południowym stoku Rocaviguru, niedaleko od wybrzeży morza Śródziemnego, leży małe miasteczko Grasse. W miejscowości tej kwitnie od przeszło stu lat przemysł, mający za cel fabrykacyę wonności. Cała okolica w pobliżu Grasse, ciepła i zalana promieniami słońca, wygląda jak jeden wielki ogród, na wzgórzach i dolinach rosną tu w ogromnej ilości najpiękniejsze kwiaty świata, powietrze jest przepełnione wonią tulipanów i narcyzów, róż i pomarańcz, rezedy, jaśminu, tuberozy. W wąskich i skalistych uliczkach miasteczka i na okolicznych drogach spotyka się ciągle wozy i wózki, naładowane purpurowemi różami. Wieśniaczki znoszą w ogromnych koszach kwiecie fiołków i jaśminu, a robotnice wielkich fabryk, zajmujących się przeróbką dostarczonego materyału, są zasypane kwieciem w dosłownem znaczeniu.

Sposoby, z pomocą których wydobywa się z kwiatów zapachy, są rozmaite, zależnie przedewszystkiem od kwiatów, jakie się przerabia. Róże i kwiat pomarańczowy parzy się wrzącym olejem oliwnym, dopóki cały zapach nie przejdzie w olej. Nowożytne metody stosują inne środki do ekstrakcyi, mianowicie odczynniki chemiczne, jak eter, chloroform lub benzyna. Kwiecie jaśminu i tuberozy przerabia się jeszcze zawsze najczęściej starą metodą „enflaurage“: rozsypuje się je lekko na warstwach zimnego tłuszczu i pozostawia przez kilka dni na tym pokładzie w przestrzeniach nie dużych, szczelnie zamkniętych. Kwiaty wydają w tych warunkach bardzo dużo zapachu, który jest chciwie pochłaniany przez tłuszcz; uzyskuje się tą drogą znacznie więcej wonnych substancyi, aniżeli możnaby uzyskać z kwiatów zupełnie świeżych. Tłuszcz, nasycony wonią, przechodzi w handel jako pomada kwiatowa i odgrywa w przemyśle perfumowym bardzo ważną rolę.

Filozoficzne badania zmysłu węchu nie są dotąd nazbyt posunięte. Aby powstało wrażenie zapachu, trzeba, aby koniuszczki nerwów, służących do przenoszenia wrażeń węchowych, zetknęły się z maleńkiemi cząsteczkami substancyi woniejącej. Zmysł powonienia więc jest, podobnie jak zmysł smaku, raczej zmysłem chemicznym, gdy natomiast wzrok i słuch uważać można raczej za zmysły fizykalne, to znaczy zmysły, gdzie podrażnienia wywołują energię. To też chemia, jako nauka o materyi, jest w pierwszym rzędzie powołana do tego, aby dać nam wyjaśnienie substancyi woniejących.

Zanim nauka mogła pomyśleć o tem, aby sztucznym sposobem wytwarzać substancye woniejące, było oczywiście koniecznem poznać chemiczny skład tych ciał; analiza musiała poprzedzić syntezę. Badania naukowe w tym kierunku natrafiły na szczególniejszą przeszkodę, wskutek tego, że trzeba było przerabiać niezmiernie wielkie ilości kwiatów, aby otrzymać substancyę woniejącą w ilości wystarczającej do podjęcia gruntownej analizy i do wyjaśnienia właściwości izolowanych ciał. Przy pomocy metod, opierających się głównie na ekstrakcyi i destylacyi, otrzymuje

się przedewszystkiem tak zwane oleje eteryczne, które są ciałami złożonemi i zawierają często dwadzieścia i więcej rozmaitych substancyi, z pomiędzy których tylko niewiele jest charakterystycznych dla zapachu oleju. Przykładem trudności, z jakiemi badacz musi tu walczyć, może być fakt, że trzeba przerobić 1000 kgr. kwiatu fiołkowego, aby uzyskać 80 gramów oleju eterycznego.

Na polu badania olejków eterycznych osiągnęła nauka w ostatnim dziesiątku lat bardzo wybitne rezultaty. W niemałej mierze przypada tu zasługa zasadniczym i teoretycznym pracom prof. O. Wallacha w Getyndze. Z niezwykłą bystrością, i z nieznużoną wytrwałością uczony ten, wspólnie z licznymi swymi uczniami, opracował specyalną gałąź chemii, którą przedtem uważano za niemożliwą do systematycznych badań. Przyznanie mu nagrody Nobla było wyrazem uznania dla jego działalności w tym zakresie.

Na podstawie badań Wallacha mógł się zacząć rozwijać przemysł olejków eterycznych i sztucznej perfumeryi. W r. 1888 odkryto „citral", co miało wielkie znaczenie dla sztucznego wyprodukowania substancyi woniejącej fiołka, nazwanej „jonemem". Nieco później znalazł się na targu „terpineol", mający zapach bzu. Przez stosowne mieszanie rozmaitych, chemicznie wytworzonych, substancyi woniejących, udaje się wyzyskiwać syntetycznie coraz nowe oleje kwiatowe lub fabrykować produkty sztuczne o zapachu, zbliżonym do kwiatowego. Tak więc chemik wytwarza już dzisiaj przyrodzie poważną konkurencyę. Cudne wonie hiacentów i narcyzów, róż, jaśminu, heliotropu i lawendy, które dawniej wytwarzały tylko słońce i rosa w ogrodach kwiatowych, dzisiaj są fabrykowane w laboratoryach wielkich fabryk wśród szumu pasów transmisyjnych, turkotu kół rozpędowych i dymu olbrzymich kominów. Wprowadzenie naukowych metod do praktyki przemysłowej przyniosło i inne jeszcze korzyści. Im dokładniej zna się skład olei eterycznych, im dokładniej zbadano właściwości substancyi woniejących, tem łatwiej stwierdzić istotną wartość produktów, pojawiających się w handlu, sprawdzić, czy zawierają dostateczną w stosunku do ceny ilość substancyi woniejących, lub czy są fałszowane. Jednakże w konkurencyi wiedzy ludzkiej z przyrodą ta ostatnia jest ciągle górą. Produkcya sztuczna wielu woni jest ciągle tak kosztowna, że łatwiej wyrabiać je z naturalnego materyału surowego, nawet sprowadzanego z dość daleka. I dlatego wspomnianej na wstępie miejscowości nie grozi na razie przynajmniej żadne niebezpieczeństwo.

Miasto „męskie".

Pomimo uspokojenia, jakie zapanowało oficyalnie w stosunkach dalekowschodnich, nie zażegnana dotąd burza wciąż podnieca umysły, ciekawość powszechna wciąż zwraca się w stronę tajemniczego Wielkiego muru, za którym coś się dzieje, poza którym czai się Żółty Smok — i może gotuje się do skoku.

Rosyjska prasa żywo zajmuje się wszystkiem, co dotyczy „państwa środka ziemi" i chętnie zamieszcza wszelkie opowiadania z dalekich krain syberyjskich. W gazecie „Riecz" spotykamy się z jednem z takich opowiadań, zajmująco skreślonem piórem p. A. Ossendowskiego, z którego pewne szczegóły mogą wzbudzić zainteresowanie naszych także czytelników.

— Wciąż czyta się i słyszy o tem, że wrogie stanowisko do Rosyan w Mandżuryi zajmują nie sfery urzędowe chińskie, lecz tamtejszy lud; że niebezpieczeństwo grozi nie ze strony rządu, lecz ze strony tłumu. Słusznie więc może być postawione świadomym rzeczy pytanie: Czem jest właściwie owa chińska czerń?

Odpowiadamy na to, że jestto coś zupełnie odmiennego, niż tłum, napełniający miasta Europy, niż lud, zamieszkujący europejskie wsie. To nie są ani robotnicy, ani drobni rolnicy, to jest osobna kasta ludzi, jedna z wielu, na które dzieli się pod względem obyczajowym ludność Cesarstwa Niebieskiego, kasta, wyróżniająca się swoją liczebnością i karnością.

Kto zna Chiny nie z okna wagonu jedynie, ten może wiele nieznanych nam jeszcze szczegółów opowiedzieć o tym dziwnym kraju.

Jednym z takich dziwów są tak zwane „miasta mężczyzn". Są to osady z nędznych domostw złożone, przypominające ogólnym swym charakterem dawną Sicz zaporoską. Rozrzucone w pustynnych miejscowościach Chin północnych, w takich przedewszystkiem, gdzie niema nigdzie w bliskości żadnej siedziby władz, rezydencyi jakiego chciwego Dziań-Dziunia albo Dao-taja, powstają te osady w taki sposób, że jakaś banda Chińczyków, uchodzących od głodu, zarazy albo kryminału, wiąże się w ściśle zespolone zrzeszenie i wyrusza w dzikie stepy, gdzieś na pustkowiu usypanej czerwonym piaskiem Gobi. Tam banda bezdomna upatruje sobie dogodne miejsce i ulepiwszy liche fanzy z gliny, ubitej z zeschłą trawą i suchymi badylami, obwodzi nową siedzibę ochronnym murem, podobnież ubitym z gliny. Tak powstaje wśród odludnego stepu

gródek, do którego wkrótce ściągają inne partye włóczęgów.

Dziwne robi wrażenie taka sadyba o bezładnie rozrzuconych lepiankach z jaskrawemi chorągiewkami na ostrokańczastych dachach, trzepocącemi się na wietrze ponad niskim murem obwodowem. I dziwne obyczaje panują w tych „miastach mężczyzn", gdzie ludzie po niedługim czasie, przebytym w specyalnych warunkach życia, przeobrażają się z typów indywidualnych w ogólny typ charakterystyczny. osadnikom takim właściwy.

Życie tych ludzi bardzo mało ma w sobie ludzkiego — w naszem rzeczy rozumieniu. Żywność ich stanowi roślinność wszelaka, dokoła osady rosnąca i wszelkie żywe twory fauny stepowej. A gdy już zetną wszystkie chwasty, wyłowią wszystkie susły, krety i myszy, wtedy wysyłają poszukiwaczy żywności do odleglejszych niewyeksploatowanych jeszcze zarośli i pustkowi, celem dalszego zaopatrywania w równie skromnie produkty ich prawdziwie pustelniczej spiżarni. Napoju żadnego niema ani kropli, kobiety nigdzie nie widać w tych dziwnych koszarach, gdzie każdy sam sobie przygotowuje wszystko, czego wymaga najniezbędniejsza potrzeba, a przyjemności życia reprezentuje jedno jedyne opium, którego błękitnawy dymek wciąż unosi się powolutku nad fanzami w sennem, nieruchomem powietrzu pustyni.

I równie sennie, nieruchomo unosi się ciężka, gniotąca nuda nad „miastem mężczyzn", gdzie zbita masa wygłodzonych, zdziczałych, zwyrodniałych istot ludzkich w półzwierzęcem bytowaniu zdaje się wyczekiwać jakiegoś wstrząśnienia, które ją wyprowadzi z bezwładności i rzuci w wir jakiegoś zawrotnego ruchu...

Ten drzemiący lecz straszny żywioł musi być trzymany w kleszczach żelaznej dyscypliny. Jedynowładztwa niema w „męskich miastach", lecz są najbezwzględniej stosowane samosądy. Niewidzialna ręka całej gromady, nieraz wielotysięcznej, natychmiast bez miłosierdzia zadławi każdego, kto wykroczył przeciw prawom zrzeszenia. Niewidzialny sędzia wydaje wyrok — i winowajca, który dopuścił sie jakiegoś przeciwgromadzkiego przestępstwa, jak: rabunek, podpalenie, zdrada — poniesie kaźń niewiadomo od kogo — gromada sama sobie odcina szkodliwy członek. Bezkarnem pozostaje tylko zabójstwo: pobiją się, pozabijają, to ich prywatna sprawa, społeczność zbiorowa w nią się nie wtrąca.

Wśród martwoty życia „miasta męskiego' trafia się czasem żywy dzień. Wędrowny bajarz przywałęsa się do osady i jako daleki bard opiewa jakieś boje i heroje, pobrzękując w trzechstronnej gęśli, a jego prostacza epopeja sławi żółtych i kosookich patryotów i zionie nienawiścią do białych dyabłów, do wszystkich in-guo (Anglików), fa-guo (Francuzów), a zwłaszcza man-zy „nosicieli czapek" (Rosyan). Dostaje się też nieraz i mandarynom-zdziercom, [przekupywanym przez europejskich dyabłów, a nawet bogdychanowi, „potomkowi nikczemnego mandżura". Płomień fanatyzmu, rzucony w odrętwiałe serca, budzi je dreszczem wściekłości, roznamiętnienia, żądzą krwi — i oto już gotów ferment rewolueyjny, chińscy siczownicy przy pierwszej sposobności wypadają z „męskiego miasta", przeobrażeni w straszliwych chunchuzów. *(T.)*

Kalendarzyk historyczny

od 21 do 27 maja.

21. Jan Sobieski obrany królem Polski 1674 r.
22. Tytuł królewski, przyznany Prusom, a imperatorski Rosyi 1764 r.
23. Sejm konwokacyjny 1633 r.
24. Wydanie Psałterza w drukarni Unglera w Krakowie 1539 r.
25. Bitwa pod Koniecpolem 1863 r. — Bitwa pod Ostrołęką 1831 r.
26. Puławski pobił Moskali pod Barau 1768 r.
27. Polacy wymordowani w Moskwie 1606 r.

Od Redakcyi.

— **P. Helcia Zięciak w Poznaniu: —** Prosimy o podanie bliższego adresu celem wysłania nagrody.

— **„Hagne" Poznań.** Oceny grafologiczne zamieszczamy kolejno, t. zn. w miarę nadchodzących rękopisów do oceny. W niniejszym numerze dla braku miejsca „Kącika grafologicznego" wogóle zamieścić nie możemy. Ocena, o którą Łaskawej Pani chodzi, ukaże się w numerze przyszłym.

Od Administracyi.

— **Szanownych Czytelników** prosimy, aby do listów, w których żądają nadesłania pojedyńczych numerów do kompletów i t. p., dołączali należytość w znaczkach pocztowych, odpowiednio do podanej w nagłówku ceny za pojedyńcze numery.

— **Na wielką „ucztę ludową“**, która odbędzie się dnia 25 maja w ogrodzie „San Domingo“ przy drodze dębińskiej, staraniem pań św. Wincentego à Paulo w Poznaniu na Wildzie zaprasza Zarząd Towarzystwa i prosi gorąco o pomoc materyalną w gotówce lub naturaliach, również o zasilenie bufetu i o żywe fanty jako to: jagnięta, kozy, króliki, prosięta, drób, gołębie, miód, owoce, itd. Adres do przesyłek: Swinarska, przewodnicząca Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, Poznań-Wilda, ulica Krzyżowa (Kreuzstr.) nr. 7. Pokwitowanie i podziękowanie ogłosimy w gazetach.

Łamigłówka do nagrody

*				Pora roku.
	*			Zwierzę dzikie.
		*		Instrument muzyczny.
			*	Wyraz używany w muzyce.
		*		Imię męskie.
	*			Imię żeńskie.
*				Inaczej „odgłos“.
	*			Mają ryby.
		*		Rzeka w Rosyi.
			*	Nazwa robotników w Chinach.
		*		Choroba.
	*			Wulkan w Europie.
*				Miasto w Egipcie.
	*			Napój szlachetny.

Z sylab: no — wi — kair — na — et — trąd — li — ku — wa — ne — ci — oś — cho — e — na — an — on — le — moll — flet — wilk — ma — zi — utworzyć 14 wyrazów wyżej podanego znaczenia. Litery oznaczone gwiazdkami dadzą nazwę świąt.

Dokładne rozwiązanie łamigłówki prosimy nadsyłać **tylko na pocztówkach** najpóźniej do 25. maja na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 22.

Rozwiązanie

łamigłówek zamieszczonych w nr. 18.

I. **Szarada.**

(kara — raka — kora — rum)

Karakorum.

II. **Zagadka.**

(T — K) = *Teka.*

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Jan Badura, M. Całkówna, Danusia Doleżych, B. Drążkowski, Franciszka Garczyńska, „Janek z Poznania“, Eleonora Jankowska, Jan Kokociński, Halinka Konopińska, Karol Krzystolik, Jan Loncz, Aleksander Malicki, J. Nalaskowska, Ap. Paszliński, Stanisław Pietrzak, Hanna Preibiszówna, Helena Rogałła, Jadzia Szudrowicz, Tadeusz Szwarc, Felicya Thiem, Helcia, Ludka i Jasinka Zięciak.

Z Galicyi:

pp. Konstanty Cag, Wojciech Dziewoński, Ludomił Fiałkiewicz, Jaworski, Adam Kolasiński, Korneli Kosiński, Adam Krakla, Aniela Pajdówna, Alina Panasiewiczówna, Józef Poncza, Weronika Przybyłowiczówna, H. Riedl, Wilhelm Rückemann, J. Steindl, Floryan Wolski.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Jadwiga Jańczak z Friedenau p. Berlinem, Agnieszka Kunz z Herne (Westfalia) Marya Nowakowska z Charlottenburga, Emilia Świątkowska z Monachium, Zarzycki z Turynu (Włochy).

Nagrodę otrzymają:

1) Franciszka Garczyńska z Bucza (Ks. Pozn.), 2) Helcia Zięciak z Poznania, 3) Jadwiga Jańczak z Friedenau p. Berlinem, 4) Wojciech Dziewoński z Karwiny (Śląsk austr.)

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, przesyłali rozwiązania łamigłówek **tylko na pocztówkach.**

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MAURYCY LEBLANC.

DAMA JASNOWŁOSA.

(Ciąg dalszy).

— Trzysta tysięcy — mruknął Herschmann.

Cisza. Obserwowano hrabinę. Stała uśmiechnięta, lecz blada, czem zdradzała swój niepokój, opierała się o poręcz krzesła przed sobą. W rzeczy samej wiedziała to dobrze, i wszyscy obecni wiedzieli również, wynik pojedynku był niewątpliwy: logicznie, fatalnie musiał wypaść na korzyść finansisty, którego zachcianki rozporządzały kapitałem pół miliarda. Jednak wymówiła:

— Trzysta pięć tysięcy.

Jeszcze cisza. Zwrócono się w stronę króla kopalni, w oczekiwaniu podwyżki. Będzie ona z pewnością silna, gwałtowna, ostateczna.

Jednak nic. Herschmann stał obojętny, z oczyma utkwionemi w kartkę papieru, którą trzymał w prawej ręce, podczas gdy drugą miął rozerwaną kopertę.

— Trzysta pięć tysięcy — powtarzał komisarz. — Raz... dwa... Jeszcze czas... Nikt nie daje więcej?... Powtarzam: raz... dwa...

Herschmann ani drgnął. Ostatnia chwila milczenia. Młotek upadł.

— Czterysta tysięcy! — zawołał Herschmann, podskakując, jakby uderzenie młotka otrzeźwiło go z odurzenia.

Zapóźno! Przysądzenie było nieodwołalne. Tłoczono się koło niego. Co się stało? Czemu nie mówił wcześniej?

Roześmiał się.

— Co się stało? Słowo daję, nie wiem. Miałem chwilę roztargnienia.

— Czyż możliwe?

— Ależ tak, podano mi list

— I ten list wystarczył?...

— Aby mnie zmieszać, tak, w pierwszej chwili.

Ganimard był tuż. Asystował przy licytacyi pierścienia. Zbliżył się do jednego z woźnych.

— To wy podaliście list panu Herschmannowi?

— Tak.

— Od kogo?

— Od jednej pani.

— Gdzie ona jest?

— Gdzie ona jest?... zaraz panie, tam... ta pani, co ma gęstą woalkę...

— Która teraz odchodzi?

— Tak.

Ganimard rzucił się do drzwi i spostrzegł damę, która schodziła ze schodów. Pobiegł. Napływ publiczności zatrzymał go u wyjścia. Potem już jej nie odnalazł.

Powrócił do sali, zbliżył się do Herschmanna, przedstawił się i zapytał o list. Herschmann podał mu go. Zawierał pisane ołówkiem naprędce, charakterem bankierowi nieznanym, tę parę słów:

„Niebieski dyament niesie nieszczęście. Pamiętaj pan o baronie d'Hautrec".

* * *

Przygody niebieskiego dyamentu na tem się nie skończyły. Osławiony już morderstwem barona d'Hautrec i wydarzeniem w sali licytacyjnej, w pół roku potem miał posiąść największy rozgłos. Następnego lata skradziono hrabinie de Crozon drogocenny klejnot, który zdobyła z takim trudem.

Wieczorem, 10-go sierpnia, goście hrabiostwa de Crozon byli zebrani w salonie wspaniałej rezydencyi nad wybrzeżem Sommy. Słuchano muzyki. Hrabina siadła do fortepianu i złożyła swe biżuterye, między niemi niebieski dyament, na maleńkim stoliku obok.

Po godzinie hrabia wyszedł a za nim dwaj jego kuzyni d'Andelle i pani de Réal, przyjaciółka hrabiny de Crozon. Hrabina została sama z panem Bleichen, konsulem austryackim i jego żoną.

Rozmawiali, potem hrabina zgasiła wielką lampę, stojącą na stole w salonie. W tej samej chwili pan Bleichen gasił dwie lampy przy fortepianie. Nastąpiła chwila ciemności, nieco pomieszania, potem konsul zapalił świecę i wszyscy troje rozeszli się do swych pokoi. Hrabina zaledwie znalazła się w swoim pokoju, przypomniała sobie zostawione w salonie klejnoty i poleciła pokojowej pójść po nie. Ta wróciła i złożyła je na kominku. Pani ich nie przeglądała.

Nazajutrz hrabina de Crozon spostrzegła, że brakuje pierścienia — pierścienia z niebieskim dyamentem.

Uprzedziła męża. Ich opinia była wyrobiona; pokojowa była poza wszelkiem posądzeniem, winnym mógł być tylko pan Bleichen.

Hrabia uprzedził komisarza policyi w Amiens, który rozpoczął poszukiwania i dyskretnie rozciągnął najściślejszy nadzór, aby konsul austryacki nie mógł ani sprzedać, ani wysłać pierścienia.

Dniem i nocą agenci otaczali pałac.

Dwa tygodnie upłynęły bez najmniejszego wydarzenia. Pan Bleichen oznajmia swój wyjazd. Tego dnia wdrożono przeciw niemu śledztwo. Komisarz wdaje się oficyalnie i nakazuje rewizyę jego rzeczy. W małym woreczku podróżnym, którego kluczyk nie opuszczał nigdy konsula, znaleziono flakon z proszkiem do zębów, a we flakonie — pierścień.

Pani Bleichen zemdlała. Jej męża aresztowano.

Pamiętają wszyscy sposób obrony, przyjęty przez obwinionego. Nie mógł wytłomaczyć sobie inaczej obecności pierścienia, jak zemstą hrabiego de Crozon. „Hrabia jest gwałtowny i unieszczęśliwia swą żonę —· mówił. — Miałem długą z nią rozmowę i namawiałem ją stanowczo do rozwodu. Dowiedziawszy się o tem, hrabia się zemścił. Wziął pierścień a przed mym odjazdem wsunął go w neseser". Hrabia i hrabina podtrzymywali żywo swą skargę. Publiczność mogła wybierać pomiędzy ich tłomaczeniem i tłomaczeniem konsula. Żaden nowy wypadek nie przechylił szali domysłów. Cały miesiąc gadaniny, przypuszczeń i posądzeń nie dał ani źdźbła pewności.

Znudzeni tym hałasem, niezdolni podać dowodu oczywistego winy, któryby uprawomocnił ich oskarżenie, pan i pani de Crozon zażądali, aby im przysłano z Paryża agenta, zdolnego do rozwikłania tego kłębka zagadek.

Przysłano Ganimarda.

Przez cztery dni stary inspektor wywiadywał się, przeszukiwał, poznawał park, odbywał długie rozmowy z pokojową, z palaczem, ogrodnikami, urzędnikami pobliskich biur pocztowych; oglądał mieszkania, zajmowane przez państwo Bleichen, kuzynów d'Andelle i panią de Réal. Potem pewnego ranka zniknął bez pożegnania z gospodarstwem.

Ale w tydzień potem otrzymali depeszę następującą:

„Proszę przybyć jutro, w piątek, piąta wieczór. Thé japonais, ulica Boissy-d'Anglas.

Ganimard".

* * *

Punkt o piątej w piątek automobil hrabiostwa zatrzymał się przed nr. 9 ul. Boissy-d'Anglas. Stary inspektor, który ich oczekiwał na chodniku, poprowadził ich bez słowa wyjaśnienia na pierwsze piętro restauracyi. Zastali w jednej z sal dwie osoby, które Ganimard przedstawił im zaraz.

— Pan Gerbois, profesor liceum w Wersalu, któremu — pamiętają państwo — Arsen Lupin skradł pół miliona. Pan Leon d'Hautrec, synowiec i spadkobierca barona d'Hautrec.

Cztery osoby siadły. W kilka chwil potem przybyła piąta. Był to szef służby bezpieczeństwa.

Pan Dudouis był w dość cierpkim humorze. Ukłonił się i rzekł:

— Cóż się stało, Ganimard? Podano mi w prefekturze twoje wezwanie telefoniczne. Jest-że to coś poważnego?

— Bardzo poważnego. W ciągu godziny wypadki ostatnie, których badaniu się poświęciłem, znajdą tu rozwiązanie. Wydało mi się, że pańska obecność jest niezbędna.

— Jako też obecność Folenfanta i Dieuzy, których spostrzegłem na dole, niedaleko wejścia?

— Tak, szefie.

— Ale po co? Czy idzie o aresztowanie? Ileż przygotowań! No, dobrze, Ganimard — słuchamy.

Ganimard wahał się przez chwilę, potem wyrzekł z widocznym zamiarem zadziwienia swych słuchaczy.

— Przedewszystkiem oznajmiam, że pan Bleichen jest niewinien w kradzieży pierścienia.

— Ho! ho! — rzekł pan Dudouis — proste wyznanie... a doniosłe.

A hrabia zapytał:

— Czy tylko na tem ograniczają się pańskie odkrycia...

— Nie, panie. Nazajutrz po kradzieży troje z pańskich gości udało się automobilem na wycieczkę do Crécy. Podczas, gdy dwie z tych osób oglądały sławne pole bitwy, trzecia udała się pospiesznie do biura pocztowego i wysłała maleńkie pudełeczko, zaszyte, opieczętowane według przepisów pocztowych i oszacowane na sto franków.

Pan de Crozon odezwał się:

— Nic w tym niema nienaturalnego.

— Czy może wyda się panu także naturalne, że ta osoba, zamiast podać swoje własne nazwisko, wysłała posyłkę pod nazwiskiem Rousseaux, i że odbierający, niejaki pan Beloux, zamieszkały w Paryżu, wyprowadził się tegoż samego wieczora po odebraniu wysyłki, tj. pierścienia.

— Może tu mowa o jednym z mych kuzynów d'Andelle? — zapytał hrabia.

— Nie, nie idzie tu o tych panów.

— A więc o panią de Réal?

— Tak.

Hrabina krzyknęła przerażona:

— Pan obwinia moją przyjaciółkę, panią de Réal!

— Małe pytanie, szanowna pani — odrzekł Ganimard. — Czy pani de Réal była obecną przy sprzedaży niebieskiego dyamentu?

— Tak, ale nie byłyśmy razem.

— Czy nie namawiała panią do kupna pierścienia?

Hrabina zaczęła sobie przypominać.

— Tak... w istocie... myślę nawet, że ona powiedziała mi o tem pierwsza...

— Zapisuję pani odpowiedź, hrabino. Jest stwierdzone, że to pani de Réal mówiła pani pierwsza o tym pierścieniu i namawiała panią do kupna.

— Jednak... moja przyjaciółka jest niezdolna...

— Przepraszam, przepraszam, pani de Réal jest tylko pani przypadkową przyjaciółką, a nie „serdeczną przyjaciółką", jak ją dzienniki ogłosiły, co odsunęło od niej całe podejrzenie. Zna ją pani zaledwie od tej zimy. Co więcej, wykażę pani, że wszystko, co ona pani opowiadała o sobie, o swej przeszłości, o swych stosunkach, jest najzupełniej fałszywe, że pani Blanka de Réal nie istniała przed spotkaniem się z panią i że nie istnieje już w chwili obecnej.

— A potem?

— Potem? — powtórzył Ganimard.

— Tak, cała ta historya jest bardzo ciekawa, ale do czegóż się ona stosuje w naszej sprawie? Jeśli faktem jest, że pani de Réal wzięła pierścień, co nie jest jednak udowodnione, czemuż go ukryła w proszku do zębów pana Bleichen? Cóż u licha! Kto się zdobywa na kradzież niebieskiego dyamentu, to go chowa. Jaką odpowiedź da pan na to?

— Ja? — żadnej, ale pani de Réal na to odpowie.

— Więc ona istnieje?

— Istnieje... nie istniejąc. W kilku słowach oto wszystko: Przed trzema dniami, czytając dziennik, który codzień czytuję, spostrzegłem na początku listy przejezdnych w Trouville „Hotel Beaurivage: Pani de Réal i t. d". Rozumieją państwo, że tegoż wieczora byłem w Trouville i zapytywałem zarządzającego hotelem Beaurivage. Według rysopisu i według pewnych wskazówek, jakie zebrałem, ta pani de Réal była właśnie osobą, której szukałem, ale opuściła hotel, zostawiając swój adres w Paryżu — ulica Colisée Nr. 3. Przedwczoraj udałem się pod tym adresem i dowiedziałem się, że niema żadnej pani de Réal, ale poprostu pani Réal, która się zajmuje szlifowaniem dyamentów i często wyjeżdża. W przeddzień jeszcze wróciła z podróży. Wczoraj zadzwoniłem do jej mieszkania i pod przybranem nazwiskiem, ofiarowałem jej swe usługi, jako pośrednik do osób, mogących kupować drogie kamienie. Dziś mamy spotkanie tu dla załatwienia pierwszego kupna.

— Jakto! pan jej oczekuje?

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIECIĘ Z ULICY.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Wielkie, mieniące się oczy Ferry spoczęły z wyrazem śmiertelnego przerażenia na żółtej twarzy kuzynki. Nagle stanęło jej wszystko dokładnie i jasno przed oczyma. Ujrzała w myśli ciemne wązkie podwórze, zadymiony pokoik, w którym mieszkali ludzie mieniący się być jej rodzicami; ujrzała siebie samą ubraną w krótkiej, złotemi tasiemkami obszytej, sukience, która jej się bardzo podobała! Ujrzała się biegnącą najpierw do kulawej sąsiadki, panny Désirée, a potem przez kilka ulic do małego „Café chantant“, gdzie mężczyźni i kobiety pili, palili cygara, głośno rozmawiali i rzucali jej pomarańcze i cukierki, gdy zgrabnie skacząc, śpiewała. Wiedziała także dokładnie, jaka to wówczas była piosnka, którą tam śpiewała, było to: „Ten ładny chłopiec jest kochankiem Amandy.“

Wówczas była tak dumną z swego śpiewu, a teraz przejmowało ją samo wspomnienie zimnym dreszczem. Przez całe długie lata nie myślała o tej piosence, teraz nagle, niespodziewanie przyszła jej na myśl i wywołała wspomnienie Maryi Pawłównej i jej własne. Może nawet ona sama była tą dziewczynką, którą jej kuzynka słyszała. Ale dzięki Bogu, te czasy minęły niepowrotnie, przeszłość była zapomniana, pogrzebana! Siedziała tu młoda, piękna, bogata, od nikogo nie zależna — książę starał się o jej względy i nikt nie przeczuwał, czem w dzieciństwie swojem była.

— Już nigdy, nigdy nie będę tego śpiewała! — zawołała namiętnie.

XII.

Księżna Sybila miała mocną migrenę. Służba przesuwała się na palcach po długich, dywanami wykładanych kurytarzach, okna były zasłonięte a nadworny lekarz zapisał krople uśmierzające. Ochmistrzyni dworu, hrabina Lendheim, wypoczywała w swoich pokojach — i tylko panna Amanda Nobbe, najwierniejsza i najulubieńsza dama honorowa, znajdowała się w pokoju dostojnej chorej.

Książę Dagobert popadł w bardzo zły humor na wiadomość o zasłabnięciu swej małżonki i wyraził się też o tem dosyć lekceważąco do swego przyjaciela Neukircha, w którego towarzystwie wkrótce potem wyjechał na zwykły spacer.

Panna Nobbe stojąc ukryta za spuszczoną firanką, patrzała za odjeżdżającymi — i natychmiast powiedziała o tem Jej Wysokości księżnie Sybili.

Księżna podniosła się szybko z kanapki, na której dotąd leżała, i odsuwając z czoła białą chustkę, skropioną różnemi olejkami, zawołała oburzona:

— To doprawdy niesłychana rzecz, moja Amando! Zawsze ten Neukirch, zły duch księcia i mój nieprzyjaciel!

Panna Nobbe poruszyła przecząco swą wcale nie piękną głową i rzekła:

— Wasza Wysokość nie ma żadnego nieprzyjaciela.

— Powiedz raczej: żadnego przyjaciela — a powiesz prawdę — odpowiedziała księżna gorzko.

Nie zauważyła tego, że panna Nobbe starała się ostrożnie zbadać, jak gdyby jeszcze coś miała na myśli, czegoby bez przygotowania powiedzieć nie śmiała. Przed godziną widziała się z bratem i używała potem zwykle tych chwil, które spędzała sam na sam z księżną na to tylko, aby jej udzielać wszystkich wiadomości i plotek, które jej brat opowiadał.

Księżna uchwyciła znów chustkę woniejącą kamforą i innemi ziółkami i poruszała nią, jak wachlarzem. Z wilgotnemi włosami, przylepionemi na wysokiem, wypukłem czole, blada jej twarz z wyrazem gniewu i uniesienia wyglądała jeszcze mniej korzystnie niż zwykle. Zauważyła też to panna Nobbe, ale nie wyrzekła ani słowa.

— Ten, kto jedynie pragnie dobrego i energicznie opiera się złemu, musi umieć być stałym — wymówiła po chwili panna Amanda uroczyście.

— Gdyby o nic więcej, tylko o to chodziło, nie skarżyłabym się wcale. Ale to jest krzycząca niesprawiedliwość, jeżeli paryskie toalety, brylanty, trochę gustu i piękna powierzchowność przytłumiają wszystkie cnoty i zalety i są powodem, że się zapomina o obowiązkach i powinnościach. Ręczę, że w klubie śmieją się z nowej namiętności księcia i drwią sobie ze mnie, a ja się tak cieszyłam, gdyśmy się nareszcie pozbyli panny Sommerfeld. Któż mógł przeczuwać, że ta żółta, złośliwa Bogdanowa sprowadzi nam tutaj taką kuzynkę! A ta niepotrzebna sanna, którą książę

dla niej urządza! Na drugi raz nie będę mogła przeszkodzić wykonaniu jej, mając już dziś migrenę. Wszystko się odbędzie, jak jest ułożone, a pani Bogdanow może się znów szyderczo uśmiechać.

— Wielkie, szlachetne dusze, Wasza Wysokość — rzekła panna Nobbe z namaszczeniem — muszą się pogodzić z tem, że nikt ich nie potrafi należycie ocenić. Jedynie tem mogą się pocieszać, że w końcu jednak przyjdzie chwila, w której zaślepionym oczy się otworzą.

— O tak! — zawołała księżna. — Gdybym się ubierała w paryskie toalety, gdybym farbowała włosy, kokietowała, wtenczas, możeby — ale tego wcale nie pragnę, kochana Amando! Celem mojego życia nie są zbytki, a nosić suknie tak wycięte, jak księżna Arbanow, na to nie pozwala moja skromność ani moje zasady.

— Było to rzeczywiście niesłychane!

Panna Nobbe aż zadrżała na wspomnienie tej sukni i złożywszy swe długie, chude ręce, rzekła:

— Świat jest bardzo zepsuty, Wasza Wysokość.

— A my go nie zmienimy — odrzekła księżna wzdychając.

— Ale możemy być wzniosłym przykładem dla tych, którzy pragną stać się doskonałymi.

— Ba, któż, dziś ceni takie pragnienia! — brzmiała smutna odpowiedź księżnej.

— Gdybym z całą uniżonością śmiała przypomnieć, że brat mój jest duszą i ciałem oddany Waszej Wysokości i że z prawdziwą czcią wypełnia wszystko to, co w oczach Waszej Wysokości uchodzi za dobre i szlachetne, że usiłuje niechętnych przekonać, że nieustannie stara się, aby usunąć wszelkie przykrości i zmartwienia od Waszej Książęcej Wysokości; byłby to wprawdzie jeden tylko z pośród wielu, ale byłby zawsze przykład, że cnoty umieją być także uznane.

— Tak, tak, wiem, że brat twój jest nam zupełnie oddany — rzekła księżna z roztargnieniem.

— Bóg jest świadkiem — zawołała panna Nobbe, przyciskając swą chudą, kościstą rękę do serca, a podnosząc oczy do góry. — Był przed chwilą u mnie i jego dobre, czułe serce zmusiło go do udzielenia mi pewnej wiadomości, ale nie wiem...

— Opowiedz mi to, moja kochana Amando — zawołała księżna nagle ożywiona; z tego źródła bowiem dowiadywała się zawsze wiele rzeczy.

— Ja nic nie wiem, Wasza Wysokość, była to tylko niepewna pogłoska, możnaby nawet powiedzieć, cień pogłoski — obracała panna Nobbe bezradna na wszystkie strony.

— Wiesz przecież, że umiem milczeć i w każdym razie umiem tyle panować nad sobą, że nigdy cię nie zdradzę. Czy to dotyczy księcia?

— Nie, tu chodzi — no, ale dla czegoż nie miałabym powiedzieć — chodzi o księżnę Arbanow.

— O!

— Księżna upadła na kanapkę i z niekłamaną ciekawością patrzała na twarz swej przyjaciółki.

— Jak Waszej Wysokości wiadomo, idą panowie po każdej zabawie jeszcze do klubu — tam też dowiedział się wczoraj Ernest od malarza Laubina o niesłychanem podobieństwie księżnej Arbanow do jednej, co najmniej dwuznacznej damy w Paryżu. Laubin nie mógł się podobno wcale uspokoić.

— To niemożliwe, kochana Nobbe!

— Ernest był także tego zdania, że to jeszcze niczego nie dowodzi i zabronił Laubinowi dalej o tem mówić. Mogłoby to jednak wywołać jakie wątpliwości, a plotki powstają bardzo łatwo. Byłyby zaś niewątpliwie wielkie wskutek tego nieprzyjemności, ponieważ pani Bogdanow przedstawiła ją u dworu i wzięła tem samem wszelką odpowiedzialność za nią na siebie, a Jego Wysokość książę Dagobert bardzo ją od innych wyróżniał.

— Hm! — szepnęła księżna zamyślona i patrzała szeroko otwartemi oczami na cudownie piękny obraz ukrzyżowanego Chrystusa w kosztownych ramach, wiszący nad jej stolikiem.

— Dzieją się różne rzeczy na świecie. Cudzoziemcy — Rosyanie! Rozumiesz mnie pewnie, Amando.

— Czy Wasza Wysokość ma jakie podejrzenie? — zapytała panna Nobbe z pozornem zdziwieniem.

Ciąg dalszy nastąpi).

Marya Rodziewiczówna.

JERYCHONKA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

On głowę oburącz ścisnął i hamował jęk, który go dławił. Po długiej przerwie rzekł:

— Więc ja mogę już odejść?

— Jeśli podobnie zaczynasz — tak! Nie znoszę obraźliwości i docinków.

— A ja nie znoszę oszukaństwa.

— Jeszczem cię nie oszukiwała; może zacznę, gdy mnie będziesz traktował scenami zazdrości bez powodu.

— Oszukiwałaś, bo Faustangera przyjmujesz pomimo mej wiedzy i tajemnie.

— To się mylisz. Jestem u siebie i mogę przyjąć, kogo mi się podoba, bez prośby o pozwolenie od ciebie. Jestem wolna i pełnoletnia.

— Nie jesteś wolna, bo i ja wolny nie jestem. Cóżbyś powiedziała, gdybym ja się ożenił?

— Powiedziałabym, że korzystasz ze swego prawa. Nie wymagałam od ciebie ani przysiąg, ani zobowiązań. Miłość póty obowiązuje, póki trwa, potem — to kajdany i pusta forma. Byłby bardzo nierozsądnym, ktoby się łączył na życie przez szał!

Podniósł głowę i patrzał na nią oczyma pełnemi zgrozy. Wrażenie odbierało mu mowę.

Potem się roześmiał dziko:

— Cha, cha, cha! Więc ty mi może radzisz się żenić! Dostaję dymisyę w stopniu kochanka. Zapewne Faustanger, ordynat, wart zgody! Ano, to przynajmniej szczere. Szkoda, żeś mi nie dała na wstępie programu takiej gry. Stawki byłyby może równe i przegrana niebolesna!

— A kiedyż ja ci obiecywałam więcej, niż dałam? Oszalałeś, czyś pijany? Było mi z tobą dobrze, płaciłam ci za to. Rachunki nasze wyrównane. Teraz zastanów się i bądź rozsądny. Faustanger na rozwód się nie zgadza. Jestem na łasce matki i mam tego dosyć. Nie mogę żyć w ciągłej walce o grosz w niewoli. Muszę życie uczynić możliwszem! To jest zupełnie zrozumiałe i jeśli mi nie przyznasz racyi, to tylko dowód, żeś wielki samolub. Ja ci nigdy nie krępowałam swobody, bądź sprawiedliwym!

Wstał i słowa nie mówiąc, ku drzwiom się skierował. Coś nakształt ulgi mignęło w oczach baronowej, ale przemogła się i zawołała:

— Filip, pamiętaj, żeś się zbuntował pierwszy.

— Bądź spokojna, formy zachowałaś! — odparł twardo i wyszedł.

Baronowa poczekała, aż się drzwi od schodów za nim zamknęły; wtedy sięgnęła pod poduszkę kanapy i wydobyła zmiętą kartkę. Przy świetle ogniska odczytała ją raz jeszcze: „Pamiętaj, żeby mi gachów nie było od chwili, gdy te słowa odbierzesz, bo jeśli się ośmielisz ich utrzymywać, to ich i ciebie kijem ogrzmocę na środku rynku, a potem zamknę cię na całoroczne rekolekcye w baszcie. Ludwik dogorywa, szkoda go, bo więcej wart, niż wy wszyscy. Bądź zdrowa i rachuj się ze mną. Albert“. Baronowa uśmiechnęła się.

— Ten czuje swoją siłę i mówi jak pan — szepnęła. — Z takim warto walczyć i zdobyć albo uledz! — dodała, wzdrygając się rozkosznie.

A Filip nad ranem wrócił do domu i padł ubrany na posłanie. Zasnął zaraz i spał długo.

Obudził się o zmroku, dźwignął się i siadł, zbierając zmysły. Rozmyślał godzinę, potem wstał i poszedł do Magdy.

Służąca przyjęła go w sieni oznajmieniem, że panie poszły „na tańce“ do państwa Malickich; więc wrócił do domu i przypomniawszy sobie, że i on miał na ten wieczór zaproszenie, przebrał się i pojechał.

Nie był to bal, ale trochę zabawy w kółku ścisłych znajomych. Doktor, gdy go zobaczył, bez ceremonii wziął za puls i zajrzał w oczy.

— Dobrze, żeś przyszedł. To był instynkt zachowawczy. Tańcz i flirtuj co niemiara, pij limonadę; poty cię uratują.

Potem poufnie do ucha:

— Nie rzucaj pereł przed wieprze i nie kochaj się w mężatce, kiedy jest dziewczyna! No, ale za młodu, to przechodzi bezkarnie. Będziesz zdrów, byle nie było recydywy!

Filip się roześmiał.

— Profesor nie może żyć bez dyagnozy.

— Nałóg, mój drogi, i wprawa. Robię, co mogę, byle mieć pacyentów.

Weszli do salonu. Zaraz na wstępie zobaczył Filip Magdę, tańczącą ze Stachem Malickim.

Spojrzeli na siebie; dojrzał w jej oczach niespokojne pytanie. Po chwili, gdy usiadła, zbliżył się do niej i rzekł:

— Jestem wolny!...

— Biedaku! — szepnęła z serdecznem współczuciem.

Przesunął ręką po oczach i dodał:

— Nie cierpię nawet — tak pogardzam!

— Cóż było?

— Jutro ci powiem. Dziś chcę się trochę opamiętać, zapomnieć, odurzyć. Doktór mi radzi tańce. Chodź, nie walcowałem nigdy z tobą i oprócz ciebie, wstręt mam do wszystkich kobiet.

Okrążyli, tańcząc, parę razy salon i Filip rzekł:

— Dobrze tańczysz, tylko nie czuć ciebie w objęciu. Patrz, widzisz, jak się nam Sylwester przygląda. Muszę mu powiedzieć, że się żenię z tobą.

Powiedział to bezmyślnie prawie. Miał złą ochotę ludziom teraz kłamać, udawać, oszukiwać, byle nie dać im na pastwę swego bólu.

— Ludzie, jak strusie, łykają najniestrawniejsze baśni! — odparła obojętnie Magda.

Myślała w tej chwili: czy jego spokój jest objawem płytkości duszy, czy siły w panowaniu nad sobą, czy obumarciem wszelkiego czucia wskutek cierpienia?

Jak zwykle, żałowała, że niema Berwińskiej, by z nią o tem pomówić.

Filip zaś zbliżył się do Sylwestra.

— Cóż, dobrana z nas będzie para? — rzekł z uśmiechem.

— Więc tak? — zawołał stary. — Byłem pewny, że się to tem skończy. On revient toujours... Winszuję!

— I zazdroszczę — dodał Filip. — W czasie moich wędrówek słyszałem, że pan tam często wstępował.

— O! bezinteresownie! Miłość dla sztuki, nic więcej. Mam dla panny Magdy ojcowską życzliwość.

— Chcę wierzyć! — szyderczo uśmiechnął się Filip. — Tymczasem, daj mi pan też dowód życzliwości i nie rozgłaszaj naszej tajemnicy.

— Jak w studnię! — zawołał Sylwester, kładąc rękę na sercu i pochylając głowę.

Filip był pewien, że jutro będzie o tem wiedziało pół Krakowa.

I nie mylił się. W dwa dni potem gazeta Finka podała „z notatek karnawału“:

„Dochodzą nas wieści, że w sferze artystycznej kojarzy się małżeństwo utalentowanego malarza p. Filipa Osieckiego z naszą sympatyczną artystką, panną Magdaleną Domuntówną“.

W redakcyi dnia tego tylko o tem była mowa.

Panowie komentowali nowinę wśród konceptów i zjadliwych dwuznaczników. Niekiedy z pod oka spoglądali ku oknu, gdzie przy stole Oryż rysował, ani słowem nie mieszając się do rozmowy.

Od dwóch dni pracował pilnie, przychodził ze słońcem, odchodził o północy, do nikogo się nie odzywał, nie palił, nie schodził na obiad. Musiała go bieda tęgo przycisnąć, gdy wziął się do znienawidzonej roboty; ale też praca ta była spełniana z najgorszym humorem. Nikt nie miał odwagi zaczepić go; nawet wszechwładny Fink chodził na palcach i ledwie po jego odejściu oglądał gotowe rysunki.

— Jakie to bydlę ma zacięcie! — cmokał, zacierając ręce. — Jakie szczęście, że to jeszcze nie rozumie swej wartości, a toby go zaraz porwała zagranica!

I strzegł się go pochwalić nawet zaocznie, żeby uwagi ogółu nań nie zwrócić.

Gdy mówiono o Magdzie i jej zaręczynach, Oryż jakby nie słyszał. Brzydka jego, śniada twarz, do której wrósł cynizm i lekceważenie, nie zmieniała się w niczem. Pochylony nad kartonem, z brwią ściągniętą i skupioną uwagą w oczach, gonił w pamięci obrazek, który rzucał na papier. Tak był zajęty i zły, że nawet nie gwizdał oberków.

Po południu, gdy gazeta obiegła miasto, do redakcyi wpadł Stach Malicki, jak zwykle roztargniony i nieuważny.

— Ej, prawda to, że Osiecki bierze Domuntównę? — zawołał do Finka, rzucając kapelusz i laskę na stół Oryża i siadając na rogu.

— Ostrożnie! — zawołał przerażony redaktor.

— Ach, wlazłem na Oryża! Patrzcie, to ty coś robisz? Pokaż no, a, to album krakowskie. Daj — obejrzę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZA WINY OJCÓW.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Nie myślę, że nie, bo dobre rady nie zawsze bywają dobrze przyjmowane. Szumne słowa: „rozporządzają moją przyszłością„, albo: „przyszłość mojej córki lub syna spoczywa zupełnie w twoich rękach“, można często słyszeć! Ale biada ci, jeżeli nie uczynisz tej przyszłości taką, jaką sobie oni życzą! Radźcie dobrze, ale nie odradzajcie! Tak się zwykle dzieje!

— A co pan robisz, gdy cię kto o radę pyta?

— Nie troszczę się o nic, tylko mówię szczerą prawdę! Nie mogę i nie chcę kłamać! Tam, gdzie ja stoję, nie dosięgają intrygi, które zniszczyły tylu moich kolegów; mnie już wolno mówić tak, jak myślę, chociaż nie jestem tyle zarozumiałym, aby myśleć, że wszyscy postępują podług mych rad. Czy nie wiesz, miss Doro, że sławny człowiek ma prawo być niegrzecznym, kapryśnym, że wybacza mu się wszystko, nazywając go co najmniej „oryginałem“ i „dziwakiem“. On może mówić rzeczy, którychby sobie nikt od innych ludzi powiedzieć nie pozwolił, uważając to za obrazę, i żądając za to zadośćuczynienia!

— Ale czy nie popada człowiek w takim razie w grzech zarozumiałości i nie uważa siebie za nieomylnego? Czy nie nadużywa swej potęgi? — zapytałam.

— Jeżeli w młodym bardzo wieku zdobywa sobie sławę — to może tak być w istocie — później obojętnieje człowiek na wiele rzeczy, życie męczy — wtedy ucieka się w Salzburgskie Alpy i kołysze muzyką do snu chore dzieci!

— Czyj to utwór, ta kołysanka, którą pan wówczas grałeś? — zawołała żywo.

Skomponowałem ją raz, gdy mój syn małem jeszcze był dzieckiem!

— A dla czego? — zaczęłam, ale nie dokończyłam.

— Nie mówmy o tem, proszę cię miss Doro!

Rzekłszy to, zdjął kapelusz, ukłonił się i odszedł.

Teraz nastąpił szereg dni słonecznych i pogodnych — prawdziwa wiosna ozłociła uroczym promieniem cały piękny Tyrol, siły moje wzrastały też z każdym dniem, i tworzyłam nieustannie nowe plany co do mojej przyszłości. Nie potrzebowałam teraz już pomocy Barbary, ani przy otworzeniu oczu. Gdy się rano budziłam, po dobrze przespanej nocy, wybierałam sobie przedewszystkiem ładną suknię, miałam ich bardzo wiele, a wszystkie były kosztowne i wytworne — potem wybiegałam na werandę, siedziałam pod ulubioną moją jabłonią, a w końcu przed śniadaniem odbywałam zwykle małą przechadzkę, wracając zawsze w wybornym humorze i z dobrym apetytem.

Chodziłam na te przechadzki sama; Barbara lubiła bowiem wygodę i unikała bezcelowych spacerów; bieganie zaś po górach, co tu było koniecznem, uważała za karę dla siebie, i nie mogła pojąć, dla czego ludzie, mając wygodne drogi, muszą się męczyć wspinaniem na skały — była przy tem dosyć otyłą, i długie chodzenie pozbawiało ją możności oddychania.

W głębi serca żywiłam nadzieję, że mój nowy przyjaciel, który namiętnie lubił samotne przechadzki i pobyt w górach, weźmie mnie z sobą na te wycieczki, ale omyliłam się bardzo! Szukał on rzeczywiście samotności, ten monsieur Dornet! Myślałam, że po naszej pierwszej rozmowie zbliży się nieco do nas — ale i tu myliłam się znowu. Bywały dni, w których ledwie miał spojrzenie i ukłon dla mnie, czasem nie widział mnie wcale, raz po raz zaś patrzał na mnie lekkim uśmiechem, zdejmował kapelusz, i przechodził, nie mówiąc ani słowa.

— On musi doprawdy być bardzo sławny, bo ma kaprysy artysty — dowodziła Barbara. — Ale nierozumiem, że ty i ja, które rzeczywiście nie żyłyśmy na wsi, nic dotąd nie słyszałyśmy o wielkim artyście tego nazwiska!

Co do jego gry na fortepianie, która inną istotę zrobiła ze mnie, tak nadzwyczajne wrażenie na mnie wywarła, to i tu stało się inaczej, niż myślałam. Zdawało się, że monsieur Dornet ma tylko względy dla chorych ludzi — zdrowi są mu zupełnie obojętnymi. Dawniej grywał w oznaczonych godzinach i tylko to, co ja sobie życzyłam — teraz wszystko to ustało. Gdy przez kilka dni z niecierpliwością czekałam na nadejście owej pory, w której zwykle grywał, i przygotowana na usłyszenie czegoś prawdziwie pięknego, usiadłam przy otwartem oknie, nie usłyszałam nic innego, jak świergot ptaków i odgłos kroków artysty nad moją głową. Rozczarowana, rozgniewana, wybiegałam na przechadzkę, a gdy

po kilku godzinach wracałam, opowiadała mi Barbara, że zaraz po mojem wyjściu zaczął monsieur Dornet grać, a grał tak zachwycająco pięknie, że nie mogła się dosyć nasłuchać.

Czasem też, wracając, słyszałam jeszcze kilka ostatnich dźwięków fortepianu — potem gwałtowne odsunięcie krzesła, co było dowodem, że na dziś dosyć już muzyki! A jeżeli zdarzyło się, że byłam tak szczęśliwą, że zaczął grać, gdy się znajdowałam jeszcze w moim pokoju, to zamiast jakiej pięknej sonety Bethowena, lub tęsknego nocturna Chopina, usłyszałam jaką zimną fugę Bacha lub odwieczny chorał Palestryny lub Marcella. Była to zimna woda na moje gorące serce!

Nie byłabym się nigdy do tego przyznała — ale w głębi serca miałam rzeczywiście nadzieję, że po tej naszej pierwszej rozmowie poprosi mnie Dornet, abym mu zagrała, ponieważ mu Barbara wspomniała o moich zdolnościach; spodziewałam się też, że gra moja zadziwi go, że zajmie się mną, i że pomoże mi do osiągnięcia celu, który sobie wybrałam. Mówiąc wówczas o zarozumiałych, a miernym talentem obdarzonych zwolennikach muzyki, myślałam sobie w duszy — co pewnie każdy czyni — że ja tworzę wyjątek, i że posiadam dosyć talentu, aby wzbudzić zajęcie chociażby najsławniejszego artysty. Oprócz tego, mówiono mi na pensyi — Stella naturalnie pierwsza — że jestem podpadająco piękna; widziałam to sama w zwierciadle, i mogłam poznać z spojrzeń, jakiemi obci na mnie patrzeli, że tak rzeczywiście jest. Nawet ów wybredny Henryk uznał to! I że ta „podpadająca piękność“ nie wywarła żadnego wrażenia na tym jedynym człowieku, z którym była tak długo w tych ustronnych górach! Wiedziałam, że artyści są wrażliwi na piękność — dla czego monsieur Dornet tworzył wyjątek? Dla czego patrzał tak obojętnie na moje czarne błyszczące oczy, na mój świeży rumieniec, i na złote, bujne kędziory? Oczy jego były zawsze tak smutne, zmęczone i zdawały się zawsze patrzeć w dal — w chmury — w niebo.

A cóż z tego! Jeżeli monsieur Dornet nie zajmował się miss Dorą, to za to ona zajmowała się nim, często mimowoli i ku własnemu jej niezadowoleniu. Jakiemi mogły być jego stosunki familijne? Opowiadał mi o dziecku, które serdecznie kochał, dla którego skomponował tę zachwycającą kołysankę, która mnie jedynie i zupełnie uzdrowiła. Gdzie żyło to dziecko, ten syn, ile miał lat, i dla czego nie miał go przy sobie, dla czego rozłączał się z nim na tak długi czas? Gdzie była matka tego dziecka, żona Dornet? Co to była za kobieta?

— Nie mówmy o tem, proszę cię, miss Doro, powiedział wtenczas, a więc znowu, jak to już często w życiu słyszałam, zakazano mi pytać! Powinnam była przygotować się na to, bo jakże wolno mi pytać o stosunki rodzinne innych, jeżeli nie wolno mi znać moich własnych! W każdym razie musiałam się zgodzić na to!

Barbara i ja wiodłyśmy ciche i spokojne życie, byłyśmy z siebie zupełnie zadowolone. Humor miałam zawsze wesoły i dobry, godzinami siedziałam na werandzie, zajęta ręczną robótką lub czytaniem, często w towarzystwie poczciwego pana Walzla lub doktora Bernera, który jednak nigdy dłużej nie zastawał, jak pół godziny.

W towarzystwie opowiadałam wesołe zajścia z pobytu mego na pensyi, a z wycieczek w góry wracałam zawsze z ogromnym apetytem. Na tych przechadzkach towarzyszył mi zwykle Pluto, wielki pies naszego gospodarza mocny doga angielski.

— Dora zmieniła się zupełnie, jest inną jak dawniej — mawiała często uradowana Barbara, patrząc na mnie z prawdziwą macierzyńską czułością. — Rośnie, jest zdrowa, silna, no! nie chcę ci komplementów prawić, moja Doro, ale zdrowie i młodość to największa uroda!

Babka otrzymywała regularnie co tydzień sprawozdania o mojem zdrowiu od Barbary i odpowiadała również regularnie kilku słowami; cieszyła się, że mi lepiej i wyrażała nadzieję, iż do jesieni (prędzej nie miałam ztąd wyjeżdżać), wyzdrowieję zupełnie.

Ja nie pisałam do niej nigdy, a że tego odemnie wyraźnie nie żądała, przeto czułam się bardzo zadowoloną, iż nie jestem zmuszoną do prowadzenia korespondencyi, która była mi wstrętną. Mój Boże! Zanim nadejdzie jesień, upłynie jeszcze wiele czasu; wiedziałam też, co potem nastąpi!

Powzięłam niezłomne postanowienie, co do mej przyszłości i w ścisłej tajemnicy opowiedziałam wszystko Barbarze.

Żadna siła ludzka nie zmusiłaby mnie do wrócenia do babki, nigdy już nie chciałam wieść takiego życia, jakie miałam dotąd u niej! Zamierzałam jej to wszystko wyjaśnić w obszernym liście krótko przed wyjazdem z Tyrolu, a byłam przekonaną, również jak Barbara, że babka także nie będzie już miała ochoty wypełniać nadal swego obowiązku względem mnie. Wstręt jej bowiem do mnie zwiększył się znacznie w ciągu tych kilku miesięcy, jakie przepędziłam w jej domu. To, co babka nazywała wypełnieniem obowiązku, podkopało moje zdrowie i byłoby niemal zniszczyło mój cały ustrój nerwowy.

Próba ta nie powiodła się, byłam więc pewną, że nie będzie miała chęci powtórzenia jej.

Postanowiłam więc udać się do Paryża lub Berlina i poświęcić się muzyce; chciałam się wykształcić na śpiewaczkę lub pianistkę, chciałam zasięgnąć rady profesorów i wybrać to, co oni uważają za lepsze dla mnie. Wila, w której aż do czternastego roku życia przebywałam z ciotką Giną (nie słyszałam już nigdy o niej i nie pragnęłam też tego wcale), była moją własnością, wiedziałam o tem od babki; cały ten dom wraz z pięknym ogrodem miał być sprzedanym, a pieniędzy tych chciałam użyć na opłacenie kosztów nauki.

W razie, gdyby babka na to nie przystała, a mogła się oprzeć moim życzeniom, bo nie byłam jeszcze pełnoletnią i babka była moją opiekunką, no! to poradzę sobie inaczej! Stella musi się mną zająć! Stella mądra, doświadczona, przejęta nawskroś mojemi zdolnościami! Wszystko to miało być tylko pożyczką, bo nie wątpiłam ani na chwilę, że mam wielką, świetną przyszłość przed sobą!

Byłam przecież młodą, zamiłowaną namiętnie w muzyce i, jak wszyscy mówili, niezwykle utalentowaną, a zdrową także! Stella ma zaufanie do mnie i znajdzie sposób ułatwienia mi drogi, którą sobie nieodwołalnie wybrałam!

Ach! jakże tęskniłam za moją ukochaną muzyką! Czy głos mój zawsze jeszcze jest tak dźwięcznym, jak wówczas na pensyi, czy ręce moje nie sztywniały, a wyborna niegdyś pamięć nie zaginęła? O gdybym choć raz tylko mogła spróbować, ale gdzie? Czy w pokoju pana Dorneta? Wszakże on wychodzi nieraz na cały dzień, jestem więc zupełnie bezpieczną, lecz czy zdołam mu potem spojrzeć śmiało w oczy, bez wyrzutów sumienia? Czy prosić go otwarcie o pozwolenie używania jego fortepianu? Nie, na to nie pozwalała moja duma! Wyglądałoby to tak, jak gdybym koniecznie pragnęła poszczycić się moją umiejętnością i nie chciałam uczynić tego wobec człowieka, który tak mało na mnie zwracał uwagi, nie mówiąc już nic o tem, że po tak długiej przerwie nie będę może umiała nic zagrać na fortepianie z pamięci!

Pewnego dnia, myśląc nieustannie o moich planach na przyszłość, siedziałam na werandzie, a usłyszawszy głośne szczekanie psa, obróciłam żywo głowę. Na drodze szedł listowy; z daleka już pokazał mi list, poznałam natychmiast, że to był list od Stelli.

Dawno już nie miałam od niej wiadomości — teraz pisała do mnie z Cieplic,

„Cześć podagrze i reumatyzmowi, cześć!“ — To były pierwsze słowa listu. — „Wuj zaniemógł na obiedwie te słabości — podagra dokucza mu już od dawna, a reumatyzmu nabawił się przy szperaniu w swoich starych ulubionych tandetach, gdzie wieczne przeciągi, ale gdzie za to raz po raz udaje mu się znaleźć jaki stary szpargał. Naraz zaczęły go boleć ręce, potem nogi, a doktorzy — istne anioły — powiedzieli, że Cieplice jedynie mu pomogą, i dla tego, droga, ukochana Doro jesteśmy tutaj. Cudowna miejscowość! Reumatyzm wuja przyszedł mi w samą porę, jak na zawołanie. Nie myśl jednak, aby wuj zbyt wiele cierpiał! Broń Boże! Tak bardzo źle nie jest z nim, bo widzisz, gdyby ktoś bardzo cierpiał, to byłoby mi go żal — choćby nawet chodziło o mego kochanego wuja i opiekuna, który mnie nie rozumie i nie lubi. Ale raz po raz strzyknie mu to w rękę, to w nodze, a on wykrzywia zaraz na to twarz — co go bynajmniej nie czyni piękniejszym. Aby mu się nie pogorszyło i aby świat nie stracił takiego wielkiego wuja-wzoru, posłali go lekarze do Cieplic... a ja — no, gdzież mnie miał podziać — rad nie rad musiał mnie wziąść z sobą. Uczynił to bardzo niechętnie, jestem o tem aż nadto przekonaną, ale to właśnie bawi mnie niezmiernie! Czy to moja wina, że niezbadane wyroki Boże uczyniły go moim wujem?

„Wiesz Doro, w Paryżu było już nudno, wszystko wyjeżdżało do wód, za granicę lub na wieś — przytem dałam kilku wielbicielom kosze — nie podobali mi się młodzieńcy, a moja odmowa rozgniewała ich bardzo — więcej jednak jeszcze ich mamy — pożegnały się z strachu na widok takiej „arcyzalotnej dziewczyny“ i dokuczały mi okropnie. Doro, czy ja jestem zalotną? Wreszcie — może być! Henryk przyjął zaproszenie jednego z swych przyjaciół na wieś — i tak opustoszało wszystko, a ja prosiłam Boga, aby przecież zesłał jaką odmianę, i otóż jest reumatyzm!

„O, Cieplice są piękne, a panuje tu wytworność, zbytek w strojach, rozmaitość narodowości nie do opisania! Jestem jak ryba, która się dostała do swego żywiołu. Twoja samotność tam — w górach, to nie dla mnie! Być może, że dla twoich słabych nerwów, jakie masz z łaski babki, jest to zbawiennem, ale ja jestem zdrowa i mnie nie trzeba nic innego, jak zabawy i jeszcze raz zabawy, gdy tego nie mam, spuszczam nos na kwintę. Powiadasz, że cuda przyrody zastępują ci towarzystwo ludzi — ach, mój Boże, ja tego nie rozumiem! Ja muszę mieć kogoś, kto ze mną rozmawia i śmieje się — kto mnie podziwia, albo kto się ze mną kłóci — tego wszystkiego cuda

przyrody nie robią — są one cudami, ale zarazem milczą, jak kamienie! Dla tego spoglądam z przyjemnością na ładne góry i lasy do koła Cieplic i cieszyłabym się, gdybym mogła urządzić z tobą wspólne wycieczki. Jestem pewna, że i tobie podobałoby się tutaj! Ale bez ludzi nie umiem sobie dać rady, pomimo najszczerszej chęci.

„Teraz jednak najważniejsza rzecz! Gdy byliśmy tu już trzy dni i gdy już zebrałam w koło siebie wcale pokaźny zastęp nowych znajomych, należących po największej części do płci brzydkiej, wiesz, że ja to potrafię wybornie — zgadnij, kogo spotykamy na drodze do Schönau? Jestem pewną, że ani się domyślisz! Otóż naszego „rajskiego ptaka“ z pensyi, Dolores Santez, tak pstro i kosztownie ustrojoną, jak wówczas i obok niej żółtego, zgryźliwego, starego jegomościa w wózku, który posuwał murzyn, prawdziwy murzyn, wielki, czarny jak smoła.

„Ów stary, żółty, zgryźliwy jegomość miał na głowie olbrzymi, okrągły, biały kapelusz i olbrzymi, pstry wachlarz w ręku. Obok wózka szedł młody, czarnowłosy mężczyzna, ubrany bardzo wykwintnie, z czarnym wąsem i brodą i tak czarnemi oczyma, jakich jeszcze w życiu nie widziałam. W ustach trzymał papierosa. Cała ta grupa osób wyglądała bardzo egzotycznie — mianowicie stary jegomość, który nadto miał w uszach złote kolczyki.

„Dolores bardzo się cieszyła, gdy mnie ujrzała. — Przedstawiła mi natychmiast swego ojca i swego brata Juana. O murzynie nie mówiła nic, ale dowiedziałam się wnet, że imię mu Pedro.

„Ja naturalnie przedstawiłam jej także mój dwór, co wcale nie było drobnostką, zważywszy na rozmaite narodowości i dowiedziałam się, że papa Santez, zgromadziwszy w Brazyllii strasznie wiele pieniędzy na plantacyach i handlu, pragnie teraz odpocząć w Europie na swych kupieckich i spekulacyjnych laurach. Podczas podróży zapadł tak na reumatyzm w nogach, że czemprędzej musiał przybyć do Cieplic — gdzie go lekarze wsadzili do wózka i przyrzekli mu uzdrowienie, ale kiedy, tego dziś jeszcze powiedzieć nie można.

„Mój brat Juan“ przyjechał na powitanie ojca z Wiednia, gdzie jest attaché przy portugalskiem poselstwie, a ujrzawszy ojca tak słabego, postanowił, jako dobry syn, pozostać przy nim dopóki nie będzie mu trochę lepiej.

„Juan, mniej więcej trzydziestoletni młodzieniec, jest bardzo dobrze wychowany; nie mówił zbyt wiele przy tem naszem pierwszem widzeniu się, ale za to tem więcej patrzał na mnie swemi wielkiemi, okropnie czarnemi oczyma.

„Ja też nie zwracałam wcale uwagi na niego, całą moją uprzejmość i zalotność skierowałam ku staremu, żółtemu papie i to z takiem powodzeniem, że zeschły pergamin śmiał się serdecznie i wyglądał, jak twarz kauczukowa. Wzięłam mu pstry wachlarz z ręki i poruszałam nim lekko, a całe towarzystwo bawiło się w najlepsze.

„Dolores była bardzo zadowolona, Pedro zaś pokazywał nieustannie swoje śnieżno-białe zęby — widocznie cieszył się urokiem swego pana. Tego dnia rozstaliśmy się szybko, ale nasz „rajski ptak“ był wzruszony tem spotkaniem się i błagał mnie gorąco o częste bywanie u siebie — na co nie przystałam niby od razu — trzeba być zawsze trochę reservée — to czyni nas więcej upragnionemi i większemi. Byłam jednak o tyle łaskawą, że dałam się ubłagać i przyrzekłam jej wkrótce moją wizytę.

„Będę naturalnie u niej często bywać, — powiększyłam mój dwór o cztery osoby — liczę w to i murzyna, albowiem uwielbienie jego dla mnie nie ma granic! Kilka młodych Angielek, które tu poznałam, i jedna trochę emancypowana Rosyanka są straszliwie zazdrosne, że jestem zawsze tak otoczoną i są o tyle głupie, że okazują jawnie swój gniew i zazdrość. Tego nie uczyniłabym nigdy — wuj dokucza mi teraz porządnie, ale ja jestem zawsze wesoła, myśli on więc: „ona sobie nic z tego nie robi, nie opłaci się też gniewać jej“. Co za nierozsądek! Niech te panie wyrzucą raz sieci, może złapią jaką głupią rybę! Najlepszego szczupaka tego ja już sama złowiłam, bo musisz wiedzieć, że „mój brat Juan“ jest śmiertelnie we mnie zakochany. Taki człowiek z Południa, to jednak zupełnie coś innego, jak nasi Paryżanie, którzy myślą, że wyświadczają łaskę, jeżeli tańczą z nami lub nam jaką grzeczność powiedzą! Ale ten! Nazywa się Carlitos Manuel Juan de Verragos y Santez, czy to nie brzmi wspaniale? ten zna się jeszcze na rycerskości, służbie dam, na serenadach i mowie kwiatów — a jedno słowo moje wprawia go w smutek lub radość. Żółtego papę o olbrzymim białym kapeluszu i złotych kolczykach mam zupełnie w kieszeni — mruga on czasem tak podejrzliwie na mnie i uśmiecha się tak znacząco, że się boję, czy on nie myśli na własny rachunek oświadczyć mi swoje uczucia! Ale on jest czułym, kochającym ojcem, a Juan pełnoletnim i posiada własny ogromny majątek, który jednak nie dorównuje bogactwom ojca — przytem „mój brat Juan“ ma często wyraz oczu taki, że nie radziłabym nikomu żartować z niego. Nasz „rajsk

ptak“ ma naturalnie także licznych wielbicieli i zdaje mi się, że wybrała sobie pewnego angielskiego lorda, któryby mnie nie wzruszył, chociażbym z nim dwadzieścia lat na pustej wyspie żyła. Co za szczęście, że są różne gusta! Dolores powiedziała mi też zupełnie otwarcie, że potrzebuję tylko chcieć, a stanę się natychmiast sennora Stella de Verragos y Santez, z czego się niby bardzo ucieszyłam. I mówiąc ci w zaufaniu, mój słowiku, ja będę chciała! Nie, abym dla Carlistosa Manuela itd., czuła szaloną miłość, bo wątpię, czy w ogóle jestem zdolną do czegoś podobnego, ale czekać na to i opuścić dobrą sposobność wyjścia za mąż — głupstwo! Juan nie jest ani pięknym, ani brzydkim, ani mądrym, ani głupim, a więc właśnie wygodnym. Kocha mnie przytem bajecznie, będę więc mogła panować, a jest tak bogatym, że mogę mieć wszystko, co chcę — to jest najważniejsze! Serce i chatka — to nie dla mnie. Wyjść za mąż trzeba, wiecznie nie mogę siedzieć u wuja i przyprawiać go obok reumatyzmu, o chorobę żółciową — wojny siedmioletniej nie mogę z nim prowadzić, i to mnie nareszcie przestanie bawić! Nie jest też nic przyjemnego otrzymywać wszystko z jego ręki, wiedząc, że daje niechętnie — co prawie grzechem jest, bo ma wielki majątek!

„No, moja ukochana Doro, niech cię Bóg ma w opiece w tej twojej poetycznej samotności, a jeżeli będziesz miała ochotę do pisania, to napisz do mnie. A nie zdziw się, malutka, jeżeli wkrótce dostaniesz egzotyczne uwiadomienie o moich zaręczynach — ja, twoja Stella, narzeczoną! Muszę ci jeszcze nadmienić, że Juan postanowił przenieść się do Paryża, usłyszawszy raz, że ja lubię Paryż! Żyjąc tam, nie potrzebuję się rozłączać z Henrykiem! Twoja Stella“.

Czytałam list ten kilka razy, ale pomimo, że poznawałam Stellę w każdem słowie, nie byłam zadowoloną.

Że tak chłodno się wyrażała o swoich zaręczynach, uważając je niejako za korzystny układ, to mi się bardzo nie podobało! A przecież Stella miała serce! Jakże mogła tak sucho mówić o tym najważniejszym kroku w swem życiu? Uczułam prawdziwy o nią niepokój: czy będzie szczęśliwą z tym człowiekiem, o którym otwarcie powiada, że nie jest ani brzydki, ani ładny, ani mądry, ani głupi i że największą jego zaletą są ogromne bogactwa?

O, gdyby ona go przynajmniej kochała, to nie mogłaby już tak lekceważąco wyrażać się o nim! Stella i małżeństwo z rozsądku! Nie mogłam temu wcale uwierzyć. Być może, że najpiękniejsze uczucie poświęciła swemu Henrykowi, swemu ubóstwianemu bratu, tak że dla innych nie pozostawało już wiele, ale i dla mnie była zawsze kochającą, serdeczną przyjaciółką i troszczyła się zawsze żywo o wszystkie moje cierpienia i radości.

W każdym razie była to świetna partya, a Stella musiała wyjść świetnie za mąż — bogactwa „rajskiego ptaka“ wydawały nam się już na pensyi czemś bajecznem! Czy zazdrościłam Stelli, że miała wkrótce zostać narzeczoną i żoną, podczas kiedy ja ani jeszcze o tem marzyć nie mogłam? Zdaje mi się, że nie! Stella była zawsze moim ideałem, zawsze uważałam ją za doskonalszą, mędrszą i piękniejszą, nie mówiąc już nic o szczęśliwem jej usposobieniu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ciągle jeszcze można odnowić przedpłatę na „TYGODNIK NARODOWY“

„Tygodnik Narodowy“ kosztuje rocznie . 9.— koron.

„ „ „ półrocznie 4.80 „

„ „ „ kwartalnie 2.40 „

Przedpłatę należy przesyłać do Administracyi „Tygodnika Narodowego“

..... w Krakowie, ul. Wiślna 2. .....

:: HUMORYSTYKA ::

Stary praktyk.

Ojciec (do syna, akademika, który nad ranem do domu wrócił): I dziś znowu wróciłeś dopiero o świcie do domu, hulasz, marnujesz zdrowie i pieniądze, łajdaczysz się!...

Syn (ziewa): Eh, ojcze, co tu wiele gadać, ty się i tak na tem nie znasz.

Ojciec (oburzony do żywego): Za przeproszeniem, nicponiu, już ja się lepiej na tem znam od ciebie!

Doświadczona mama.

Córka: Mamo, dlaczego wyłączenie majątku robi się przed ślubem?

Mama: Dlatego, żeby pan młody mógł spokojnie zbankrutować po ślubie.

I mnie się nie podobała.

Do ciężko chorej żony prowincyonalnego kapitalisty przychodzi zawezwany lekarz, opukując chorą, bada jej puls, wreszcie kiwając głową odzywa się do jej męża półgłosem:

— Panie Kantorowicz, pańska żona mi się nie podoba.

— I mnie, panie doktorze — odpowiada mu mąż — nie podobała mi się ona, gdym się z nią żenił, ale ponieważ miała kamienicę, więc poszedłem z nią do ołtarza.

I to pamiątka.

— Czy nie mógłbyś mi, mój drogi, pożyczyć sto talarów?

— Mógłbym, ale nie pożyczę, bo masz kosztowny zegarek, możesz go więc zamienić na srebrny, i otrzymasz po zamianie ze dwie setki.

— Tego, co mi radzisz, nie mogę w żaden sposób zrobić, gdyż zegarek ten, jest pamiątką po mojej matce.

— No a pieniądze, których chcesz odemnie pożyczyć, są pamiątką po moim ojcu.

Ostrożny Wojtek.

— Nie bój się, Wojtek, most jest mocny.

— Już ja ta wolę, niech tatulko naprzód idzie? jakby tatulko się utopił, to przynajmniej ja ostanę.

Między przyjaciółkami.

— Ja, moja droga trzymam się zasady, że każda z moich córek musi być zaręczona w ośmnastym roku...

— A jeśli się nie zaręczy w ośmnastym roku?

— To tak długo ma ośmnaście lat, dopóki się jej nie zdarzy narzeczony!...

Słomiany ogień.

— Panie doktorze — odzywa się do przybyłego Eskulapa pewien radca bez zdania, którego powszechnie nazywano słomianym człowiekiem. — Mam gorączkę w całem ciele, pali mnie coś w piersiach i żołądku.

— Nie lękaj się pan o siebie, panie radco, nic się panu złego nie stanie, ten ogień, co w panu niepokój budzi, jest ogniem słomianym.

W restauracyi.

Sługa: Panie profesorze, co pan sobie życzy na obiad, co mam panu przynieść?

Profesor: Teraz nie mam czasu, przyjdź jeszcze raz po obiedzie.

Czuły małżonek.

— Kaziu, jutro twoje imieniny; chciałbym ci coś kupić, ale nie wiem doprawdy, jak ci dogodzić — mówił czuły mąż do swojej połowicy.

— Mój drogi, zaskoczyłeś mnie tem oświadczeniem tak znienacka, iż sama jeszcze nie wiem co.

— W takim razie, moja ukochana, pozostawiam ci cały rok, do następnych twoich imienin, do namysłu.

Żądajcie wszędzie mydła Zwierzyńskiego.

!! Swój do Swego !!

Kupujcie mydła Zwierzyńskiego
Które za najlepsze są uznane,
Złotemi medalami nagradzane.
Paczki jednej zażądajcie
I się o tem przekonajcie,
To i komoszce je polecicie
A będzie niem prać całe życie.

687 a

Żądajcie wszędzie mydła Zwierzyńskiego.

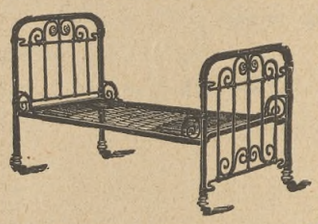
Specyalny skład i fabryka garderoby męskiej i dla chłopców

J. Lisiecki

Filia w Wrześni Rynek 24. Telefon 126.

Poznań, St. Rynek 57. Telefon 1215.

Zamówienia podług miary. Skład sukna krajowego i zagranicznego.



Łóżka wyśc. od 6.50 mk. począwszy
Łóżka żelaz. od 6.25 mk. począwszy.
Umywalki z komplet. z garnitur. od 2.90 m. począwszy.
Maszynki do mięsa
Maszynki do bułek
Młynki do kawy
Wagi kuchenne
Kociołki do bielizny
Węborki em. i cynk.
Garnki żel. i emal
Wanienki emal. i cynk.
Łyżki — Łyżeczki
Noże i widelce
Żelazka do prasow.
Deski do prania
Maszynki do gotow.
Maszynki do chleba
Dzbanki emal. i blasz.
Konewki do polew.
Kasetki do listów
Stoły — Ławki ogrod.
Drabki, klatki
Szczotki, Szufelki itd.
poleca

Stefan Twardowski,

Poznań, Stary Rynek 79.

Skład sprzętów kuchennych i domowych.

Zał. 1891. Zał. 1891.

St. Mańczak

Fachowy złotnik i jubiler z 28-letnią praktyką

Tel. 640. **Poznań ul. Berlińska 7.** Tel. 640.

Największy i najstarszy

polski zakład złotniczy i jubilerski

poleca

wyroby złote, srebrne oraz biżuteryę

od najtańszych do najwykwintniejszych.

Wybór ogromny. **Ceny bez konkurencyi.**

Rozszerzajcie pismo nasze!

Poznań O. I, ul. Kohleis 22 (przy ul. Młyńskiej).

Dyrektora B. Heimanna zakład przygotowawczy

do egzaminów **służby jednorocznej, prymy i abitur.,** również do każdej klasy **wyższego** zakładu naukowego. Na św. Michał 1909 złożyli egzamin wszyscy uczniowie. Ureg. pensjon. — Prospekty darmo i franko·

Ciechociński Zakład kąpielowo-zdrojowy

otwarty

od dnia 8/21 maja do 8/21 września włącznie.

Wody Ciechocińskie jednobromo-słone szczególnie są pożyteczne w cierpieniach skrofulicznych, reumatycznych, kobiecych i wielu innych. Nie ma dziecka, które nie potrzebowałoby kąpieli Ciechocińskiej. Zakład posiada 10 źródeł z rozmaitą koncentracyą solanki od 6% do 1/8% (artezyjskie do picia). W razie potrzeby dla wzmocnienia solankowej kąpieli dodawany bywa Ciechociński szlam i ług, produkta lecznicze wytwarzane na miejscu przy warzeniu soli. W Ciechocinku można brać kąpiele solankowe, borowinowe, kwasowęglowe, elektryczne, świetlne, łaźnie, tuszówki, inhalacye oraz zabiegi hydropatyczne W zarządzie zakładu jest do nabycia Ciechociński szlam leczniczy. Ciechociński ług leczniczy, stosowany do przyrządzenia sztucznych kąpieli Ciechocińskich i gazowana solanka 1/8% do 1% do picia. Ciechocinek łączy się z odnogą D. Ż. Warszawsko-Wiedeńskiej i pograniczną stacyą Aleksandrowo. Komunikacya z wszystkimi pociągami warszawskimi i zagranicznemi. Tania komunikacya Wisłą statkiem parowym. Na każde zapotrzebowanie są wysłane bezpłatnie cenniki.

20 najwyższych nagród
w tem 4 Grands Prix z wystaw międzynarodowych uzyskał dla swej niezrównanej jakości
„Amalino“ błyszczyk na obuwie.
Wyrób fabryki chemicznej
W. Wyrybkowski
T. z o. p. 655-9
Gniezno - Gnesen.

Skład strojów damskich
Poznań, **B. May** Piekary 2.
Nowości
wszelkie latowe już nadeszły,
jako też
modele dla pań panienek i dzieci.
Żałobne kapelusze zawsze na składzie.



Ważne! Ważne!
Z kłopotu wybawia
każdą panią domu
Firma „Palette“ Antoniewicz
która dostawia **gotowe, wypróbowane, nielepiące farby i lakiery do podłóg i t. d.** udzielając wszelkich informacyi.
Specyalny skład wszelkich przyborów malarskich, farb, lakieru, pokostu, terpetyny.
Tapety począwszy od 10 fen.
Przy Starym Rynku, **Poznań**, Tel. 160. **Wejście z ulicy Żydowskiej** obok kaplicy P. Jezusa.

Kapelusze damskie.
Kapelusze dla panienek. — Kapelusze dziecięce
od najskromniejszych do najeleganciejszych
w wielkim wyborze po znanych nizkich cenach
— poleca —
T. Ludwig,
Szkólna 10. Skład Stroju „Carmen“ Szkólna 10.
Przerabiania podług najnowszych modeli szybko.
Żałobne kapelusze zawsze na składzie.

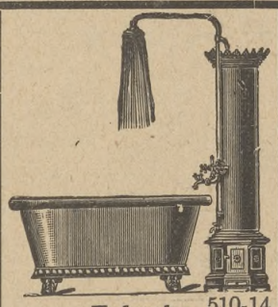
Tapety | Założ. 1847 **Antoni Rose** Telef. 381 | Linoleum
Poznań — Bazar
Zakład litograficzny i drukarnia
Fabryka książek kontowych i rejestrów gospodarczych
Skład materyałów piśmiennych, galanteryjnych i skórzanych.
311-14
Wielki wybór torebek damskich.

BANK ZIEMSKI e. G. m. b. H. GNIEZNO, ul. Farna 3.
kupuje i parceluje posiadłości ziemskie — pośredniczy w kupnach, sprzedażach i dzierżawach, nabywa i reguluje hipoteki — załatwia wszelkie w ten zakres wchodzące transakcye — przyjmuje zastępstwa w sprawach subhastacyjnych, przyjmuje depozyta, płacąc proc. według umowy.
Rada Nadzorcza: 556-9
Dr. Tomaszkiewicz, prezes. T. Prabucki, wiceprezes.
A. Thiel. W. Królewczyk. Ks. Formanowicz.
L. Śmielecki A. Tabaczka. St. Fenrych. W. Piechocki.
Zarząd:
K. Barciszewski. B. Cetkowski. S. Kucik.

Gdzie składa się każdą sumę
oszczędności
zupełnie **pewno, korzystnie** i z dochowaniem **absolutnej tajemnicy?**
W istniejącym 24 lata i stojącym pod patronatem X. Wawrzyniaka banku
„Kasa Wzajemnej Pomocy“
w Poznaniu, Stary Rynek 45, I.
(Posen, Alter Markt 45, I.) 571-2

Pensyonat dla przyjezdnych p. Izabeli Wadzyńskiej przy ul. Podgórnej 14, I p.
przejęłam i polecam przybywającym do Poznania na czas dłuższy lub krótszy. 756
Wanda z Kantaków Malinowska.
Oświetlenie elektryczne, łazienki w pensyonacie, salon do użytku gości. Ceny nizkie.

M. Jankowski
* * *
Poznań, Wrocławska 15. Telefon 1741.
Krzyże — Pomniki Nagrobki, Nadstawki
na umywalki,
Płyty na stoliki, Urządzenia
dla cukierni, kawiarni, piekarzy, golarzy i rzeźników.
707-11



Fabryka 510-14
wanien kąpielowych
wszelkiego rodzaju.
A. Stanek, Poznań, ul. Długa 18.
Telefon 762. — Katalogi :: ilustrowane gratis ::

Tapety
Linoleum
Sztukaterye
i wszelkie przybory do malarstwa artystycznego :: :: i pokojowego :: ::
Cenniki 651
na żądanie franko.
L. Modrzejewski
Inowrocław
Telefon 491.

Przy wszelkich zakupnach prosimy powoływać się na ogłoszenia :: w piśmie naszem ::

Szkoła kroju i szycia

nowej berlińskiej akademii Weinberga nadzwyczaj ułatwiona (bez rachunków i wolnego rysowania).

Kurs kroju dwutygodniowy po 2 godz. dziennie włącznie z przyborami 21,00 mk.

Kurs szycia cztertygodniowy po 3 godziny dziennie 10,00 mk. — Panie szyją na własny użytek.

Zgłoszenia każdego czasu przyjmuje

Helena Chojnacka,

Poznań, Plac Królewski Nr. 5 dom ogrod. II wchód I p.

Zaproszenia i zawiadomienia ślubne

wykonuje szybko, gustownie i tanio

Drukarnia Dziennika Poznańskiego — Fryderykowska 9.

Eksport Masła.

Plac Działowy nr. II,

narożnik placu Sapieżyńskiego.

Najlepsze masło stołowe . . . . . funt **1.30** mk.

Wędzonka . . . . . funt **0.80** mk.

Wątrobianka własnych wyrobów . . . funt **0.80** mk.

Adres: **Roman Tilgner** **Pleszew — Pleschen**

drugi adres: **Roman Tilguer, Berlin O. 27, Blumenstr. 76**



polecam koncertowe **Harmoniki** czysty i silny strój

mały form. 2 klucze 2 basy 10 klaw. 2,65 Mk.
„ „ 3 „ 2 „ 10 „ 4,20 Mk.
duży „ 2 „ podwójne głosy . 4,75 Mk.
potrójne głosy . . 5,75 Mk.
Harmonika koncertowa 4 klucze . . . 9,50 Mk.
„ „ Ia 6 kluczy 18,00 Mk.

Skrzypce duży format 3,65 Mk. lepsze 4,95 Mk.
Stradiwarius cena zniżona . 7,20 Mk.
włoskie koncertowe Ia tylko 11,80 Mk.

Skrzypce cygańskie czarne lub brązowe tylko 16.20 Mk.

Do każdych skrzypiec dodaję pudełko, smyczek i t. d.

Brzytwy pod gwarancyą stal dyamentowa obciągnięta z futerałem

nr.:	86	87	88	89	90	91	92
cena Mk.:	1,10	1,20	1,75	2,25	2,75	3,25	3,75

Maszynka do strzyżenia włosów podwójna tylko 3,75 Mk.

Pierścionki, zegarki, noże, kołowce, maszyny do szycia itd.

Katalogi gratis i franko.

Ziemianin, kawaler lat 29, przystojny, posiadający własnego kapitału około 90 tysięcy mk. poszukuje na tej drodze

towarzyszki życia.

Panienki, przystojne, niekoniecznie z równym kapitałem, gospodarne, raczą łaskawie osobiście lub też za pośrednictwem rodziców oferty z dołączeniem fotografii złożyć w Ekspedycyi Głosu Wielkopolanek pod nr. 855.

:: Tanie czeskie pierze na pościel ::



10 funtów: nowego dobrze d rtego 8 mr., lepszego 10 mr., białego jak kwap miękkiego, dartego 15—20 m., śnieżno białego jak kwap miękkiego, dartego 25—30 mr.

Wysyłka franko i wolna od cła za zaliczką. Wymiana i zwrot towaru, za zwróceniem porta, dozwolona.

Benedicht Sachsel, Lobes 342. Post Pilsen, Böhmen.

Patenty

na wynalazki itd.

Dr. Maryan Kryzan

rzecznik patentowy.

Poznań - Rycerska 33.

Polecam mój **bogato zaopatrzony skład**

szkła

i

porcelany

oraz **wielki wybór**

lamp.

Wypożyczalnia serwisów

na obchody okazyjne i wesoła

P. Bąkowska

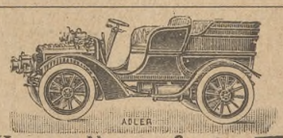
Wielka Berlińska 65

Wdowiec

licz. 60 lat, przemysłowiec, posiadający domostwo w w wartości do 20,000 marek i otwarty interes poszukuje dla braku znajomości pań na tej drodze starszej

panny lub wdowy,

z mniejszym majątkiem. Łaskawe oferty z fotografią uprasza się pod nr. **888** do Administracyi „Głosu Wielkopolanek". Dyskrecya rzecz honorowa.



Kursy dla szoferów

wyćwiczenie podług przepisów prawnych jako

szoferów do automobili i szoferów do kół motorowych.

Wstęp każdego czasu.

Otto Mix

Poznań

Bismarka ulica 6 a

Wielka Berlińska 78 a

Wypożycz. automobili.

PATENTY i t. d. uskutecznia

Biuro patentowe Knop & Himer,

Poznań, Rycerska ul. 8. Tel. 1735.

Kawaler,

organista na dobrej wiejskiej posadzie, szuka dla braku znajomości pań na tej drodze

towarzyszki życia.

Panienki miłej powierzchowności i prawego charakteru, nie starsze nad 21 lat, posiadające cokolwiek majątku, upraszam o przesłanie swych ofert wraz z fotografią do Adm. „Głosu Wielkopanek" pod nr. **934.** Dyskr. rzecz honoru; anonimów nie uwzględnia się.

Kawaler, Polak, katolik, w 32 roku życia, przystojny, miłej powierzchowności, dla braku znajomości pań, poszukuje na tej drodze

towarzyszki życia.

Panny lub młode wdówki mające chęć wyjść za mąż, zechcą swe oferty z dołączeniem fotografii przysłać do „Głosu Wielkopolanek" pod nr. 861.

Kawaler, rolnik 25 lat licz. z majątkiem 25000 mk., chciałby się wżenić w posiadłość ziemską i poszukuje dla braku stosownych znajomości, na tej drodze

towarzyszki życia.

Młode panny zechcą się zgłosić z dołączeniem swej fotografii do Administracyi „Głosu Wielkopolanek" pod nr. 860. Dyskrecya rzecz honorowa.

Młody inteligentny polak-katolik, pracujący w banku, chciałby wstąpić

w stan

małżeński

z panną lub młodą wdową polką, mającą kapitalik niewielki. Łask. oferty uprasza się do Adm. „Głosu Wielkopolanek" pod nr. **935.** Dyskrecya rzecz honoru.

Kawaler

(Galicyanin) lat 36, inteligentny, z zawodu kupiec, pragnie nawiązać korespondencyę z inteligentną panienką z dobrego domu w celach matrymonialnych. Majątku posiada 50.000 kor., pochodzi z dobrej rodziny. Pośrednictwo rodziców lub opiekunów byłoby wielce pożądane Zgłoszenia pod nr. **887** do Adm. „Głosu Wielkopolanek". Anonimy bez odpowiedzi.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie; Henryk Mierkiewicz w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".



KNAPIŃSKI

Zakład własny
wyrobów ortopedycznych
Ludwika Knapińskiego
dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga
do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaże, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu, **prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuczne i szczudła.**

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profesorów i lekarzy, odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Knapiński, Kraków, Mikołajska 7.
Telefon 505.



Wszelkie żurnale mód
francuskie, angielskie i wiedeńskie
cena 1 K.. z przesyłką K. 1.40, za zaliczką K. 1.65

szczególnie żurnal sezonowy
Favorit
na wiosnę i lato 1911 zawierający około **1000 modeli** jakoteż **GOTOWE KROJE** na suknie, kostyumy, żakiety, spódnice, szlafroki, matynki, bieliznę damską i męską, rękawy, ubiory dla dzieci itd. oraz manekiny na wszelkie miary poleca
M. LANDAU, Kraków, ul. Mikołajska 7.
Dla prenumeratów w Krakowie dostawa do domu bezpłatna.

Aptekarza A. THIERRY'EGO balsam
Jedynie prawdziwy tylko z zieloną zakonnicą jako marką ochronną. — Prawnie ochronione.
Każde fałszerstwo, naśladownictwo i odsprzedaż innego balsamu z innemi łudzącemi markami ścigane będzie w drodze sądowo-karnej i dotkliwie karane.



Balsam ten jest: 1. **Niedościgniony skuteczny środek leczniczy we wszystkich chorobach płuc i piersi, łagodzi katar i uśmierza plwociny, usuwa bolesny kaszel i leczy nawet zastarzałe także cierpienia.** 2. Działa wybornie przy zapaleniu gardła, chrypce i wszystkich chorobach gardła etc. 3. Usuwa radykalnie wszelką gorączkę. 4. Leczy wszystkie choroby wątroby, żołądka i kiszek, kurcze żołądkowe, kolki i podobne dolegliwości. 5. Leczy krwawienie i hemoroidy. 6. Działa łagodnie rozwalniająco i czyszcząco krew, czyści nerki i wzmacnia apetyt i trawienie. 7. Wyborne usługi oddaje przy bólach zębów, wypróchniałych zębach gniciu w ustach etc. i usuwa przykrą woń z ust i żołądka. 8. Jest dobrym środkiem przeciw robakom, soliterowi i epilepsji. 9. Służy zewnętrznie jako środek leczniczy na wszystkie rany, blizny, różę, ospę, fistuły, brodawki, oparzeliny, pryszcze, wyrzuty i usuwa ból głowy, szum, rwanie, gicht, bóle uszu etc. Brakować go nie powinno w żadnej rodzinie, szczególnie przy influency, cholerze i innych epidemjach. **Uważać należy na zieloną markę ochronną z zakonnicą.**

Adresować należy: **Do apteki pod aniołem stróżem A. Thierry'ego w Pregrada obok Rohitsch.** Kosztuje 12 małych albo 6 flaszek podwójnych albo 1 wielka flaszka specyalna 5 K. 60 h. Mniej niż 12 małych albo 6 flaszek podwójnych nie wysyła się. Wysyłka za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy albo za pobraniem kwoty.

Thierry'ego jedyna prawdziwa maść centyfoljowa lecznicza etc. 2 puszki K. 3,60. Do nabycia w wszystkich prawie aptekach. Hurtownie w drogeryach medycynalnych.

K. Zieliński,
— optyk —
Kraków, Rynek, A-B 34
Poleca obficie zaopatrzony magazyn wyrobów optycznych, oraz pracownie, przyjmuje do reperacyi maszy do pisania wszelkich systemów, gramofony i t. p

LAWN - TENNIS,
RAKIETY, PIŁKI,
PIŁKI NOŻNE,
Przybory do rybołóstwa.
PERFUMY, MYDŁA
i PUDRY, kraj., franc. i angielskie
polecają najtaniej
REIM i Ska. Kraków
Rynek 37. Linia A. B.

Gwiazdka Cieszyńska
pismo poświęcone wiadomościom politycznym, nauce, przemysłowi i zabawie, założone w 1848 r. przez **Pawła Stalmacha** wychodzi w Cieszynie w środę i sobotę. Informuje dokładnie o stosunkach śląskich, zajmując się przedewszystkiem sprawami narodowemi i ekonomicznemi polskiej ludności rolniczej i robotniczej.
Cena prenumeracyjna z przesyłką pocztową wynosi całorocznie 7 k — półrocznie 3 k 50 h, kwartalnie 1 k 75 h.
Za ogłoszenia płaci się **20 h** od wiersza drobnego; przy :: kilkakrotnem umieszczeniu daje się znaczny rabat ::
Adres: **Redakcya i Administracya „Gwiazdki Cieszyńskiej" — Cieszyn, ul. Schodowa 3.**

Magazyn mebli

i zakład tapicersko-dekoracyjny

Kajetana Dudziaka

W KRAKOWIE, ul. Floryańska l 36, I. p.

Kraków, ulica Zyblikiewicza 9. Telefon 796.

MECHANOLECZNICZY

ZAKŁAD ZANDEROWSKI

Lecznica chirurgiczno-ortopedyczna.

Oryginalne aparaty Zandera.

Gimnastyka lecznicza. — Pracownia dla sporządzania gorsetów, sztucznych kończyn, opasek przepuklinowych i t. p. — Leczenie gorącem powietrzem. — Mięsienie. — Elektryzowanie.

Aparat Röntgena. — Sala operacyjna. — Pokoje dla chorych.

Leczenie garbów, skrzywień kręgosłupa i kończyn, chorób stawów i kości, gośćca, aryrtzmu i t. p.

Zakład otwarty od godz. 9—1 i od 4—6.

Dr. Alfred Merz. Dr. M. Staszewski. Dr. Zygmunt Wachtel.

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią zadowolić tutki cygaretowe

„Framos“

z watą „SALVESOL“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nic dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Własności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

13

„WATA SALVESOL“

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia **nikotyna,** powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“.

Oryginalny pakiecik „Waty Salvesol“ wystarcza na 200 do 400 papieros. lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos“ 3 korony. 10 cygarniczek 1 kor. 20 hal. Pakiecik waty „Salvesol“ 30 lub 60 hal.

Zakład przem. wyrob. papierowych „Noris“

Mr. W. Bełdowski, Kraków.

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie 1901.

W. Sznajdrowicz

Kraków, Rynek, Linia A-B L. 45, I. piętro

nad apteką pod „Białym Orłem“

Filia w Krynicy na deptaku pod „Orłem“

: i w Żegiestowie, w Domu Zdrojowym :

poleca Szanownej P. T. Publiczności

Główny skład i pracownię

PELERYN

zakopiańskich i tyrolskich, damskich, męskich i dziecięcych

po bardzo niskich cenach

oraz wielki wybór serdaków i wszelkich stroi zakopiańskich i krakowskich.

15 20

Zamówienia i reperacye uskutecznia :: się w najkrótszym czasie ::